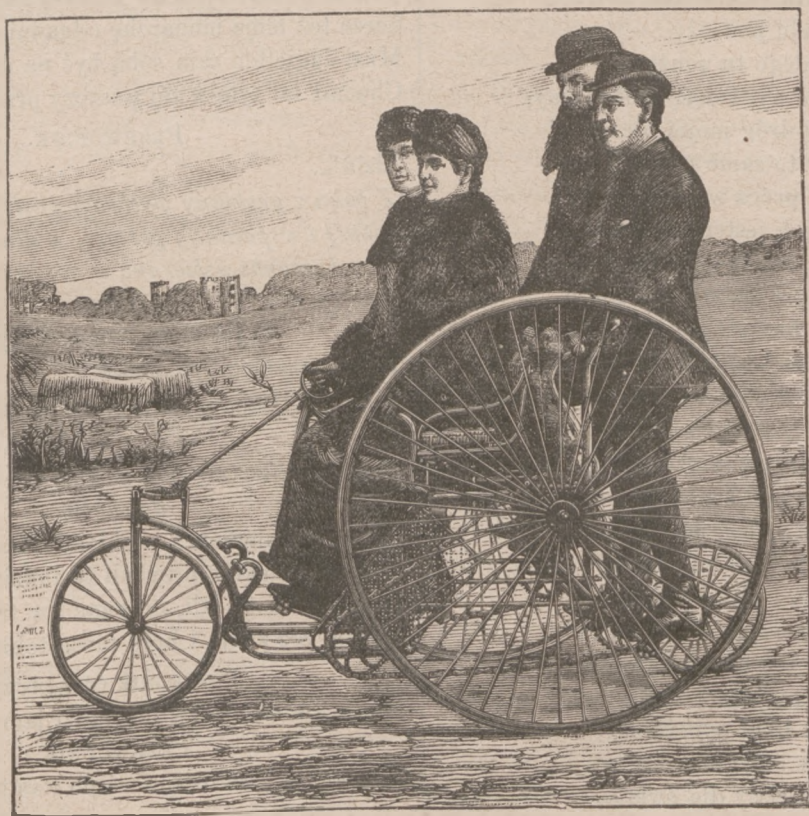


WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



Velocyped.

WELOCYPEDY ULEPSZONE.

Dotychczas velocypedy służą jedynie do zabawy, ale w Ameryce i Anglii ciągle je przerabiają i ulepszają, może też z czasem będą mogły rzeczywiście zastąpić konie wierzchowe i wózki. Rysunek nasz przedstawia taki ulepszony velocyped, na którym cztery osoby pomieścić się mogą, poruszając go wspólnymi siłami. Wygląda zupełnie,

jak mały powozik, panie mają z przodu wygodne siedzenie i nie potrzebują pracować nogami, kierują tylko velocypedem za pomocą ręcznego przyrządu, i małego przedniego kółka podczas gdy panowie, stojący z tyłu, poruszają pedały, które obracają duże koła. Velocyped tego rodzaju nazywa się właściwie trzykołowcem (tricycle).

Władysław Warneńczyk,

Obrazek sceniczny.

(*Gęstwina leśna w królestwie kastylijskiem, w pobliżu miasta Kantelopedy* *). Na boku nędzny szalas z gałęzi zrobiony; przed nim na glazie leży księga rozwarta. Z przeciwnej strony wchodzi rozglądając się przewodnik w podartym płaszczu hiszpańskim, zarzuconym na ramię. Za nim, w bogatym stroju, do polskiego podobnym i także w płaszczu podróznym, wchodzi Lew Zdenko pan na Rozmitalu, odbywający pielgrzymkę po cudownych miejscach, brat królowej czeskiej Joanny. Za Lwem wchodzi dwaj dworzanie, i pielgrzym).

PRZEWODNIK (*wskazując szalas*).

Otóż jesteśmy u celu podróży.
Droga skalista każdego tu zuuży,
Lecz mi przyznacie, wy, książe z obczyzny,
Żem jest świadomy dróg mojej ojczyzny!
Hiszpan nie każdy to samo potrafi,
Wielu nic nie zna, prócz własnej parafii.
Taki przewodnik, jak jestem ja, panie,
Rzadko się zdarza, nie zawsze dostanie!

LEW (*rzucając mu wór złota*).

Na, masz! zaspokój hiszpańską twą dumę.

PRZEWODNIK (*chwytając złoto z chciwością*).
Sumka niezgorsza... Jam wart wziąć tę sumę.

LEW (*patrzac naokół*).

Tu więc, w tym nędznym z gałązek szalasie,
Ten żyje, który wstrząsł światem w swym czasie,
Turków potęgą zatrząsłszy pod Warną,
Bo choć głoszono, że śmiercią zszedł marną,
Przecież i śmierć ta, i bitwa przegrana,
Grozą przejęły straszno Osmana.
Lecz czyż w istocie ten mąż świątobliwy
Królem jest, który po klęsce straszliwów,
Oczy rozwarłszy na błąd popełniony,
Schronił się tutaj w odległe te strony,
By dobrowolnie umarłszy dla świata,
Długą pokutą w sędziwe aż lata
Zmazać złamaną za młodu przysięgę.

PIELGRZYM.

Tak jest! spostrzegam tam ot polską księgę!

PRZEWODNIK (*zagląda ostróżnie do szalasu*).

Ludzie tak mówią, że polski król sławny
Tutaj pokutą obmywa grzech dawny
Turkom złamaną pod Warną przysięgi,
Kiedy zasłaniał, świat od ich potęgi.
W puszcze tę głuchą schroniony od świata,

Tu korzonkami przez długie już lata
Żyje jedynie, i w mniszej kapicy,
Chodzi, i w skrytej pod nią włosienicy.
Lecz widzieć z ludzi on nie chce nikogo.
Kryje się w cieniu, gdy idzie kto drogą.
Teraz go nawet i niema tam w chacie.

LEW.

Dobrze, pomówcież z nim, jeśli go znacie,
Skoro powróci; my skryci w gęstwinie,
Z tego, co nigdy w człowieku nie ginie,
Łatwo poznamy monarchę rycerza,
Jeśli to on tu żywota domierza (*do pielgrzymy*).
Wy też, pielgrzymie, podobno znak macie
Jakiś, po którym monarchę poznacie?...

PIELGRZYM.

Tak, nasz Władysław, waleczny król drogi,
Wiem, że sześć palców u lewej miał nogi;
Serce też moje monarchę odgadnie,
Musi Jagiellon sam sobą być na dnie,
Chociaż lat tyle w tej puszczy przebywa.

PRZEWODNIK.

Jdzie!...

(*Z boku z gęstwiny wychodzi pustelnik wysoki, poważnej i wspaniałej postaci, z długą brodą, niesie korzonki ubierane w koszu z gałązek*).

LEW.

O jakaż wspaniałość sędziwa.

To pomazaniec być musi!

PIELGRZYM (*upada na kolana*).

Jagiellon!

PRZEWODNIK (*zagadując pustelnika wchodzącego do chaty*).

Ojcze, cierpieniem i wiekiem ubielon!
Z krain dalekich przybyli tu ludzie,
Drogą skalistą szli, pragnąc i w trudzie,
Mówią, żeć znają i hołd noszą tobie!

PUSTELNIK (*porywczo*).

Niech ich nie widzę! dla ludzi jam w grobie!

PRZEWODNIK.

Nie, kiedy jeszcze śmierć po was nie sięga!

PUSTELNIK (*ze łkaniem, lecz gwałtownie*).

Cięższa mogiły złamana przysięga!

Cięży mogiłą rycerskiej niesławie!

(*Chce wejść do chaty, gdy pielgrzym występując pada mu do nóg*).

PIELGRZYM.

Król mój! bohater! o stój, Władysławie!

Pozwól całować twą nogę w sandale;

Oto znak na niej potwierdza się w chwale!

LEW (*postępuje i klęka, inni za nim*).

Pozwól i mnie tak! Jam czeskie jest książe,

Z krain odległych hołd złożyć ci dążę,

Uczcić cię, witaj, monarcho ty mężny,

Wzorze, i w samej pokucie potężny!

*) Niezbyt dawno stwierdzono dopiero pokutniczy żywot króla Bolesława Śmiałego w Ossinach, któż wie, czy i podanie o Wł. Warneńczyku nie okaże się kiedyś prawdziwem.

PUSTELNIK (*cofając się*).

Ludzie .. odejdźcie odemnie grzesznika...

Ostry głaz tylko nogi pokutnika

Winien całować w tej puszczy do skonu!

PIELGRZYM.

Polski i Litwy tyś dziedzic jest tronu!

PUSTELNIK (*usuwając się od ich uścisków*).

Dosyć! Bóg z wami! odejdźcie w pokój;

Niechaj dokończam w pokutnych łez zdroju

Grzech mój obmywać. Bóg z Polską i z Litwą!

Niechaj zajęte spraw ludzkich gonitwą

Choćby najświętszych, niech mają w pokorze

Prawość za pierwsze ze wszech prawo Boże!

(*Znika w głębi szalasu, do którego przewodnik zagałda*).

PRZEWODNIK.

Kłęcz! skrył w dłonie twarz łzami zalaną,

Z kłęczek nie wstanie, aż jutro snadź rano.

LEW (*powstaje, trącąc pielnym, który pozostał jak przed pustelnikiem*).

Idźmy, jak kazał! Lecz zjeźdźmy z tej drogi,

Stąpać niegodni na ślad jego nogi!

(*wszyscy z poszanowaniem usuwają się z przed chaty*).

Powstań, pielgrzymie! od króla rycerza,

Który w pokucie żywota domierza,

Zanieś testament dla Polski i Litwy!

Niechaj wśród chyżej spraw ludzkich gonitwy

Choćby najświętszych, niech mają w pokorze

Prawość za pierwsze ze wszech prawo Boże!

(*wszyscy wychodzą z kąd przyszli, oglądając się na chatę pustelnika*).

M...a.

BRANIEC TATARSKI,

opowiadanie na tle historycznym osnute,

przez Maryą Świdorską.

(Dalszy ciąg).

I dowiedziałem się, że przybywszy do Kaffy, zamiast ją oddać handlarzowi ze Stambułu, wyszukał okręt chrześcijański i powierzył dziewczę kapitanowi, uczciwemu człowiekowi, co je miał zawieźć na ziemię włoską i oddać do klasztoru panien Benedyktynek, z kąd się dostanie, gdzie ze chce, przyjąwszy światło wiary świętej. Handlarz podobno wściekał się ze złości, że go ominął drogo-cenny towar, od Edygi beya przyobiecany, i pewno tam srogię na Kubalima skargi prześle wkrótce.

— Niech się jednak co chce dzieje — dodał

stary nasz opiekun — dobrze, że za moje zmarnowane życie choć jedną duszę wybawię z tej porańskiej niewoli.

Ale żaden z nas nie domyślał się, co nastąpić miało. Pokazuje się, że Edyga chciwy, jak każdy Tatar, nietylko na bogatą zapłatę za Mirę rachował, ale spodziewał się, że za nakazem sułtana zrobią go Kałgą, czyli najwyższym po hanie wodzem i rządcą na Krymie. Teraz, gdy się dowiedział, że Mira gdzieś zniknęła, wpadł w srogi gniew; rzucił się i pnił, jak zwierzę dziki, aż się powalił na ziemię, krzyczał i kłął się na Proroka, że Kubalima ze skóry obedrzeć każe żywcem. Do tego nie przyszło, ale porwali go na rozkaz pański służalce i zawlekli do ciemnicy. Tego samego dnia... strach powiedzieć... czy mu wypalili ci zbóje, barbarzyńcy!...

— Tak, jak dziadkowi waszemu — szepnęła wdowa.

Nazajutrz ochłonął cokolwiek dziki bey i żał mu się zrobiło sługi, co mu lat tyle strzegł domu i dobytku, i ze srogięj go choroby podźwignął. Wiedział, że teraz mu nikt Kubalima nie zastąpi, bo na swoich rabusiów spuścić się nie mógł w niczem. Ale próżno! już biednemu starcowi nikt oczu nie wróci! Nie męczyli go już więcej i nawet pozwolili mi doglądać nieszczęśliwego, kiedy skrwawiony leżał w gorączce.

Przenieśliśmy go do namiotu, myślałem, że z temi dwiema krwawymi strugami, co mu z pod czoła płynęły, i życie mu uleci, ale nie! człowiek dużo przetrwać może i mnie serce nie pękło, kiedy nas z ojczyzny porwali, ani gdy tu przedemną Staszek umierał, i Kubalim wytrzymał ból straszny i rany mu się zagoiły i powstał z łoża w namiocie usłanego. Ale teraz, jak dziecko, opieki potrzebował; nie mogłem go opuścić ani na chwilę. Edyga bey nie przysłał nowego nadzorcy, a że ja byłem przyzwyczajony wszędzie Kubalimowi towarzyszyć i wyręczać go w czem mogłem dawniej, tak i teraz, prowadząc go, chodziłem do jeńców co rano i co wieczór, a że robota szła w porządku, bo wszyscy starca szanowali, więc i nadal tak zostało. Dziwnie powiedzieć, ale starzec ślepy i dziecko, bo ja wtedy byłem wyrostkiem przecieź, utrzymywali nadzór nad tyłu ludźmi. A byli tam nietylko nasi jeńcy, ale także Czerkiesi, Gruzińcy a nawet dzikie Kałmuki.

I tak znów przeszło lat ze dwa. Przez ten czas zmarł ów dzielny szlachcic z pod Sokala, co się zaciął, aby pohańcom okupu nie dawać.

— Żony i dzieci nie mam — mówił — ojczyzna się bezemnie obejdzie, bo i tak jużbym miecza nie dźwignął, straciwszy siły i dwa palce pod Sokalem, a bracia niech lepiej grosz schowają na

potrzeby Rzeczypospolitéj, niżby go za moje nędzne cielsko tym psom pogańskim oddawać mieli; dusza i bez okupu im się wymknie, obaczycie!

I rzeczywiście słabnąc zaczął, a Tatarzy, bojąc się stracić towar, kazali mu pisać do Polski. Do téj roboty mnie użył, bo sam piórem władać nie mógł.

— A zkądżeś się waść do pióra zaprawił — zapytał pan Gozdawa — czy i tego cię Tatarzy nauczyli.

— Ej gdzietam, wuju dobrodzieju, między jeńcami, którzy się do Edygi beya dostali, był pewien szanowny ojciec Benedyktyn, wielce mądry i uczony, ten mnie dużo nauczył i nieraz, pamiętam, nocami siedzieliśmy nad księgą i piórem. Ksiąg kilka było u Kubalima, co je z pomiędzy łupów tatarskich powybierał, kiedy już powyrywali srebrne kłamry i piękne malowidła, jakie za zwyczaj w księgach bywały. Tak się tedy dzięki wielbnemu ojcu nauczyłem cokolwiek łaciny i pisania, co mi się potem bardzo przydało i do mego uwolnienia dopomogło. Otóż kiedy mi przyszło pisać list od pana Rogalskiego do jego braci, co na Wołyniu posiadłości mieli a Ostoją się pieczętowali, dyktował mnie sam po słowie wszystko, a było tam powiedziano, że czując się blizkim zgonu, nie żałuje ani chwili, że życie w obronie ojczyzny poświęcił, że pod błogosławieństwem im zakazuje czynić jakiegokolwiek kroki o wykupienie nawet zwłok jego, a nakoniec zaleca, aby wioskę jego, (zda mi się Szumsk) na własność wzięwszy, używali każdy szeląg na potrzeby ojczyzny, a synów swych bogobojnie hodując, wychowali ich na tęgich obrońców kraju od wrogów. — To moje ostatnie zlecenie — dodawał — przyczem was żegnam i błogosławie.

Tu mu się łza zakręciła w oku, ale ją prędko otarł i musnąwszy siwego wása, list własnoręcznie złożył i w braku sygneta herbowego, którzy mu Tatarzy odebrali, medalikiem z szyi zdjętym przypiętował. I takie to pismo pohańce sami z innymi dokumentami do Polski wysłali, nie umiając go przeczytać i spodziewając się, że im okup hojny za jeńca sprowadzi. Pan Bóg jednak sprawę tę zakończył i za cały okup krew przelaną przyjąwszy, zabrał do lepszego świata duszę zacnego szlachcica.

We dwie niedziele może po wyprawieniu owego pisma, zasłabł więcej niż kiedy i odbywszy spowiedź świętą przed ojcem Innocentym, Benedyktynem naszym, z żalem tylko, że Sakramentów świętych przyjąć nie może, zasnął w Panu, kazawszy się obrócić twarzą w stronę północy, gdzie kraj ojczysty i rodzinę zostawił. Przed śmiercią jeszcze uściskał rękę Kubalima, a jeńców,

co się wkoło niego zebrali, błogosławił, napominając, żeby ducha nie tracili, o Bogu i ojczyźnie nigdy nie zapominali. Przykład tego zacnego szlachcica nie jednego z nas umocnił i utwierdził na dalsze losu koleje.

V. Łuna krwawa. — Stoczona walka. — Nowa strata.

Wkrótce też potem zachorował i nasz Kubalim; osłabł tak, że już się z łoża dźwignąć nie mógł, a była to wiosna, już pono ósma od owego wzięcia w jasyr. Pilnowałem starca, jakby ojca rodzonego, on mnie też jak syna miłował; chociaż ocieśniały i słaby, odkrywał mi jeszcze różne wiadomości, do których w długim i ciężkim swem życiu doszedł; nauczył, jak leczyć różne niemoce, rany opatrywać, z ziół rozmaitych leki przygotowywać; opowiadał, co wiedział o dziejach i urzędzeniach tatarskich.

Jednej nocy, pamiętam, było ciepło i rozkosznie na dworze, podniosłem kotary namiotu, a niebo gwiazdziste świeciło, jakby tysiącem osypane brylantów. Aż tu z dala, od wschodu, jakby od Kaffy, czerwona łuna płonie. Nie miesiąc to, nie zorza też, bo dopiero północ, a łuna coraz bliżej i bliżej i rozruch jakiś słyhać i krzyki straszliwe... Stary wznosił się i nasłuchiwał, wpatrując się niby krwawemi powiekami w stronę, z kąd wrzawa dochodziła; w całej osadzie rozruch się wszczął i trwoga.

— Kozacy! kozacy! — krzyczeli Tatarzy, w nieładzie rwąc się do broni i łoszaków swych dosiadając.

— Nieraz to tak bywało — mówił Kubalim — że dzielne syny Zaporoża w czajkach swoich (lekkie łódki) pomykali się ku wybrzeżom Krymu, ba, nawet i Turcyi, i wpadłszy nocą niespodzianie nabrali łupów, zapalili jakie miasto lub wieś pogańską, i nim się Tatarstwo opatrzyło, nim się zorza zaczerwieniła na niebie, zmykali, jak ptaki wodne, co ulatują gdzieś daleko.

Teraz musieli być w znacznej sile, bo się zapędzili daleko od wybrzeża, aż ku naszój osadzie, co między Kaffą a Krymem leżała, i szeroką łuną znacząc swój pochód, straszny popłoch między Tatarstwem wznieciłi. Naradziliśmy się krótko z Kubalimem i ja pobiegłem do szopy brańców, żeby im otworzyć wrota, korzystając z ogólnego zamieszania. Jakoż po chwili pusto było w szalasie, a nasi jeńcy śpieszyli do łuny czerwonej, co im teraz świeciła nadzieją swobody, bo tam spodziewali się dostać do kozaków.

I mnie serce żywo biło w piersi, mogłem i ja szczęścia próbować, żeby się do swoich przedrzeć, ale jakże zostawić tego starca ślepego, niedołę-

żnego, co nikogo prócz mnie już nie miał na świecie? On mnie sam wyprawiał, wypędzał nieledwie, ale sumienie nie pozwalało; ukląkłem i gorąco westchnąłem do Matki Najświętszej, a potem cicho zbliżyłem się do namiotu Kubalima: Stary klęczał, płakał i modlił się, a krwawe łzy spływały po bladej i jak gdyby mchem porosłej twarzy jego. Patrzyłem i taki mnie zdjął żal, żem przy padł do staruszka i objąłem go za szyję...

Nad ranem Tatarzy wracać zaczęli, a wiedli ze sobą wielu brańców, pochwytych napowrót po drodze; niektórzy szczęśliwie zdołali się przemknąć do Kozaków, ale dużo poległo od strzał i kul, ze stron obu ciskanych; między tymi i ów ojciec Benedyktyn, co chciał do kraju się prze drzeć, żeby potem z okupem, w Polsce zebrany, wrócić dla oswobodzenia jeńców. Bóg wie, czy i mnie nie byłby ten los spotkał! Tymczasem jednak Tatarzy, znalazłszy nas obu z Kubalimem w namiocie, dziwili się mocno i odtąd nawet Edyga bey łaskawszym okiem na mnie patrzył.

— Dobrześ zrobił, synu mój, żeś starca nie porzucił — ozwała się poważnie Bohowitynowa — i to ci pewno Bóg policzył.

— Kubalim żył jeszcze rok cały po tej przygodzie, ale słabł coraz więcej. Mnie się długo, długo, co nocy zdawało, że słyszę wołania i krzyki, że łuna czerwona coraz bliżej; czasami śniło mi się, że płynę czajką po Dnieprze, a czasem, że u nóg waszych klęczę matulu, a Staszek przy nas i ojciec z krwawą karabelą. Jednego ranku już różowe słońca promyki wciskały się do namiotu, kiedy się zerwałem z łoża, patrzę, a Kubalim leży biały już i zimny, jak kamień; przypadłem cucić go, nie żył i tak cicho w nocy zmarł, żem nawet jęku jego nie słyszał, a przywykłem był zrywać się jak tylko się poruszył i podawałem mu wody, albo poprawiałem postanie; widać, że przed zgonem już nic nie cierpiał, a dusza jego cicho wymknęła się do lepszego świata. I tak zostałem znowu sam na ziemi...

XI Nowy gość.—Co to Budziak?—Ojciec Hiacynt z okupem.

Dzień po dniu płynął przy opowiadaniach Janka i już się ku jesieni miało, kiedy jednego popołudnia nadjechał niespodzianie z dwoma pacholkami siostrzeniec pana Gozdawy, co służył przy hetmanie Tarnowskim i chociaż młody i gładki nihy dziewczeczka, nieraz już oręza w obro nie ojczyzny dobywał.

Jurko, tak go bowiem zwano, rodem był także z Rusi i wnet się zaprzyjaźnił wielce z Jankiem, którego przygody niezmiernie go rozciekawiały. Musiał tedy młody braniec powtarzać mu wiele szczegółów ze swęj niewoli i udzielać rozmaitych

wiadomości o kraju tatarskim, o zwyczajach, urządzeniach i sprawach tamtejszych... Jurko przy mądrym a dzielnym hetmanie ustawicznie bawiąc, nauczył się zajmować wszystkiem, co się tyczyło Rzeczypospolitej.

— Powiedz mi — rzekł razu jednego do Janka co to za nowi jacyś Tatarzy zjawili się teraz na *) Budziaku, pono gorsi jeszcze od innych? straszne o nich rzeczy opowiadają.

— I dobrze mówią — odparł Janek — bo ci dają się nawet we znaki Tatarom krymskim; są to dzicy Nohajce aż z nad Wołgi i Donu; nieraz oni napadali Krym i uprowadzali w niewolę z tamtąd żony i dzieci tamtejszych Tatarów, a carowie perekopsy rady sobie z nimi dać nie mogą. Wprawdzie jeszcze w r. 1510 car krymski zabrał im jak mówią ze 70,000 pogłowia rozmaitego z kobietami i dziećmi, ale też się za to nieraz ode mścili.

Właśnie około tego czasu, kiedy zmarł mój stary Kubalim, gotowała się z Krymu straszna wyprawa na Nohajców. Pan mój, Edyga bey, choć już w latach podeszły i wielce otyły, wybrał się też na tę wyprawę, rozgniewany srodze, bo mu Nohajcy zamordowali syna starszego, co był seraskierem (czyli wodzem) w jednej z ich hord i nie chcieli dać haraczu, czyli podatku, jaki zwykle carom krymskim składać mieli. Podobno, że hanowie Nohajscy udawali się do Polski, do miłościwego króla naszego, obiecując hołd, żeby im tylko dopomógł przeciw Krymowi, ale jakoś im się nie powiodło i Mengli Girej, poraziwszy ich srodze i wyrznawszy moc wielką, wielu też uprowadził w niewolę i osadził między Dnieprem a Dniestrem aż ku Akermanowi. Trudno tę dzicz utrzymać w spokoju i chętnie ją car krymski wypuszcza, jak stado wilków zgłodniałych, na nasze ziemie, żeby się tam krwią i łupem nasycili. Dzicz tę odrazu poznać można i odróżnić od krymskich Tatarów, bo ci ostatni więcej po ludzku wyglądają. Bo też w tym Krymie dziwna mieszanina: Grecy, Włosi, Czerkiesi, Słowianie, Turcy, wreszcie Tatarzy, tak się z sobą poplątali od wieków, że już niewiadomo, do jakiego plemienia to zaliczyć.

— W czasie tej wyprawy krymskich Tatarów przeciw Nohajcom, zjawił się we dworze Edygi beya gość niespodziany; był to ksiądz zakonnik aż z Wołynia przybyły, co się tu przedarł, niosąc

*) Tatarzy Nohajcy, zapędzeni przez krymskich w krainę między ujściem Dniestru i Bohu, i dalej na zachód ku Prutowi, dziś zwaną *Bessarabią*, dawniej *Budziakiem*. Tam też stała twierdza *Akerman*, po słowiańsku *Białogród* zwana. Później i tych Tatarów tam osiadłych nazwano *Białogrodzkiemi*; zawsze mieli oni dużo dzikości i nie ulegali żadnym prawom (mówi Bartosiewicz i t. d.).

wykup za jednego szlachcica brańca, którego Edyga w niewoli trzymał. Zacny to człek być musiał bo się właśnie jego poddani składali, żeby go z niewoli wykupić, a w wiosce czekała go żona z maleniukiem dzieckiem. Zwał się Korczak, zdaje mi się, człek był hartowny, bom nigdy skargi z ust jego nie słyszał. Niewolę i kalectwo (bo mu rękę odrąbano), znosił cierpliwie, ale gdy zobaczył znajomego sobie księdza ze stron rodzinnych, padł jak nieżywy na ziemię a potem łzami się zalał. Nie można jednak było wypuścić go, dopóki Edyga z wyprawy nie wróci i tak zeszło miesięcy parę, a tymczasem kapłan ów, człek wielce mądry i poczciwy, przebywał ciągle między brańcami. Jednych umacniał w wierze świętej, innych pocieszał, obiecując się o wykup postarać, a mnie polubiwszy, nauczał rozmytych rzeczy.

Z jego to ust dowiedziałem się o ludach, co dawniej ziemie te zamieszkiwały. Pięknymi słowy malował mi dzieje dawnych Greków, opowiadał ich podania czyli myty, bohaterskie ich walki, wyprawy morskie, wśród których nieraz zabłądzili na tę Taurydę, którą my dziś Krymem zowiemy; prawił o Rzymianach i ich pięknych czynach, a mnie, słuchając tego, rosło serce w piersi i pragnąłem choćby kosztem życia mojego dorównać któremu z tych szlachetnych bohaterów, a dusza mi się rwała do ojczyzny mojej. Myślałem sobie, że i u nas żyją bohaterowie, co krew przelewają w obronie ojczyściej ziemi a czułem już w sobie dosyć siły, żeby miecz udźwignąć. Ojciec Hijacynt, bo tak się nasz zakonnik nazywał, obiecywał pamiętać i o mnie za powrotem do kraju; o ucieczce zaś nie było co i myśleć, bo to się nigdy prawie nie udawało.

Tymczasem nadjechał Edyga z hufcem swoim znużony srodze wyprawą i zły, bo nawet łupów mu nie przyniosła żadnych, prócz koni i owiec, jakie Nohajcom zabrał. Tém chciwiej zaczął się targować z kapłanem o okup szlachcica, i niechciał przyjąć sumy kilku tysięcy czerwonych złotych, twierdząc, że to za mało. Zacny ksiądz, który przyrzekł był wiernym kmiotkom i nieszczęśliwej żonie Korczaka, że nie wróci bez niego, ofiarował się zostać na jego miejsce w niewoli, dopóki nie zbierze się reszta pieniędzy na wykup. Nie chciał tój ofiary przyjmować szlachcic, ale wreszcie dał się nakłonić i wyruszył w drogę, ale nie łatwą było rzeczą doczekać się reszty wykupu, gdyż podróż na Krym z tysiącem połączona niebezpieczeństw, a Dzikie Pola i Perekop gęsto zasiane bywają gromadami Nohajców, co nawet spokojnego posła nie poszanują i nie znają się na żadnych glejtach czyli listach bezpieczeństwa, jakieby ci mogli mieć przy sobie. Dla mnie obecność uczonego zakonnika wielkiem była dobrodziejstwem: słuchając go

umysł mój się rozjaśniał i coraz mocniej, zda się miłowałem Boga i ojczyznę.

XII. O Tatarach litewskich. — O Witoldzie i gościnności naszej dla przybyszów.

— Powiedzcież mi jeszcze, panie bracie — rzekł jednego razu Jurko — zkąd się wzięli ci Tatarzy, co ich tyle na Litwie siedzi i pono niezgorzej się tam jeszcze sprawują?

— Już to od dawnych czasów brali w jasyr Tatarów książęta Ruscy i Litewscy za czasów Gedymina wiele było na Litwie Tatarów. Witold Kiejstutowicz z wyprawy swęj za Don *) przywiódł też wielką liczbę Tatarów w r. 1397 i osadził ich nad rzeką Waką, gdzie im ziemie podawał, a tak się dobrze z nimi obchodził, że potem i dobrowolnie hanowie ze szczątkami rozbitych hord przychodzili szukać na Litwie schronienia. Podatków tam nie kazano im płacić, tylko musieli chodzić na wojnę. Dawniej, za czasów pogańskich, pomagali Litwinom przeciw Polsce, potem, jak wiadomo, chodzili na Krzyżaków i przeciw w sławnej a wiekopomnej bitwie pod Grunwaldem niemało ich w naszym wojsku było. Z czasem Tatarzy bardzo się przywiązali do Litwy i osiedlili się tam na dobre, jakby w ojczyźnie swojej. Wiadomo o tój księżnie z rodu Tamerlana, co poszła za mąż za Monwida Litwina; wychrzciwszy się na imię Zofii **), rozległe zakupiła dobra na Litwie, i wiele narobiła hałasu za czasów Jagielly jeszcze. Jużto Witolda Tatarzy wielce czczą i miłują.

— Wiem o tём — przerwał Jurko — przecież nam pan hetman opowiadał, że niedawno do miłościwego króla naszego przyszło z Litwy podanie od tamtejszych Tatarów, (1519) gdzie było powiedziane: „Nie mamy już sławnego Witolda; on nam nie pozwalał zapominać o Proroku i obracając wzrok nasz ku świętym miejscom, powtarzaliśmy imię jego, jak imiona Kalifów naszych. Przy sięgaliśmy na miecze nasze, że kochamy Litwę, gdy w czasie wojny uważali nas za jeńców, a przy wejściu naszym do tój ziemi mówili, że ta ziemia, ten piasek i ta woda będą dla nas wspólne. Wi-

*) Pisze o tём kronikarz Bielski: „Witold wyprawil się przeciw Tatarom, które poraził i przygnał jednę horde na Litwę z żonami i dziećmi, które osadziwszy, rozdał im pewne wsie około Waki rzeki, uczynił wolnemi od podatków wszelkich, tylko co na wojnę powinni są jechać“. Są też poszlaki, że już od czasów Gedymina osiadali na Litwie Tatarzy.

**) Zofia pisała się tak: Z familii Tamerlanów Izmaela Sofihali i Solimanów Paalskuisowa, Kniahinia Mongolii, Georgii, Czerkiesów Komańskich, hrabina Abissynii, Saustopola i brzegów m. Czarnego. Wyjechała wreszcie do Tatar, zostawiając na Litwie syna, Jana Janowicza de Tamerlan z Pausza Paalskuisa)l..

tołda znają dzieci nasze i przy jeziorach słonych (t. j. w Krymie) i w Kapczaku wiedzą, żeśmy z ziemi tutejszej nie cudzoziemcy.

— No proszę, dobrodzieju mój — ozwał się pan Wicenty, który dotąd w milczeniu słuchał — ktoby się spodziewał, że te psy pogańskie tak się obłaskawić dadzą! Bogiem a prawdą, jeszcze nie wiedział o tém wszystkiém co gadacie!

— Ale i teraz — mówił Janek — często gęsto ciągną całe gromady Tatarów i osiadają na Litwie i na Rusi; pełno tam jest rozmaitych begów, murzów, ulemów, jak tam siebie nazywają i szlachta nasza pono nieźle ich przyjmuje.

— Ale bo też — rzekł Jurek — niektórzy i nich przyjmują nasze nazwiska od wsi, w których mieszkają, ba, nawet herby biorą *); i w naszej chorągwi jest taki jeden; zwie się Tupalski i gdyby nie krzywe oczy i twarz dziwnie żółta, ogorzała, trudnoby poznać, że z Mongołów pochodzi.

— O już, co to, dobrodzieju mój — krzyknął p. Wicenty — to już licha warte! Żeby mi taki podły Tatarzyn miał się klejnotem herbowym pieczętować i dziwno mi, że nasi miłościwi królowie na to pozwalają. Jabym to powywieszał na gałęzi, a nie jeszcze cackać się z nimi **).

Nikt nie oponował sierdzistemu wybuchowi pana Gozdawy, bo młodzież wtedy wielki miała respekt przed starszymi i rzadko się odzywała z jakimś słówkiem zaprzeczenia. Po chwili Janek mówił dalej.

— Ja myślę, że z tych Tatarów możnaby dobrą konnicę urządzić, coby się w wojsku naszej Rzeczypospolitej przydała ***) , bo oni pod dobrem okiem to i bić się potrafią.

— Janku, synu mój — ozwała się pani Bohowitynowa — ciekawe to wszystko coś nam o Tatarach prawić, ale moje dziewczęta strasznieby chciały wiedzieć, co się tam z tobą dalej działo na Krymie?

(D. c. n.)

*) Dotąd jeszcze na Litwie dużo jest rodzin pochodzenia tatarskiego: Abrahamowicze, Azulewiczowicze, Buczaccy, Okuńscy, Bielakowie, nawet Baranowscy, Bykowscy, Józefowicze, Januszewscy i t. d.

**) Królowie polscy, zwłaszcza Zygmunt Stary i Zygmunt August, okazywali wiele łaskawości Tatarom litewskim, a ci więcej się przywiązywali do przybranej ojczyzny. Szlachta tylko, przez zazdrość i obawę o swój klejnot herbowy, starała się ścieśniać ich prawa.

***) Rzeczywiście urządzono hufce takie, już za Zygmunta Augusta dobrze się sprawiały hufce tatarskie pod Połockiem i też pod Pskowem, gdzie dowodził Radziwiłł Rudy (1681).

ZJAWISKO POWIETRZNE.

Piękne zjawisko, przedstawione na rysunku, widziane było dnia 17 Lipca 1882 r. przez pewnego podróżnika na górze Pic du midi (Cypel południowy) we Francyi. Na szczycie tej góry urządzono jest obserwatorium meteorologiczne.

„Od strony południa, pisze ów podróżny, panorama gór ogromnych przedstawiała się w zachwycającém świetle, tymczasem od północy równiny Pau i Tarbes zupełnie były zakryte przez masę obłoków białych i przez mgłę jasną, która co chwila wzbijała się, rozplywając się w lazurze nieba. Mgły te zaczęły z wolna okrążyć szczyt góry, unosząc się ponad tarasem obserwatorium lub też gromadząc się w wąwozie d'Arizes.

W tej chwili właśnie rysowałem, gdy niespodzianie olśniło mię szczególne zjawisko świetlane, które zakryło mi zupełnie przed oczyma szkicowany przezemnie krajobraz. Tuż ponad głową moją utworzyła się tęcza bladawa, w głębi wąwozu ukazały się dwa słupy olśniewającego światła, na tych słupach ujrzałem cień własny najdokładniej odbity. Był on otoczony jakby aureolą jasno żółtą, a później białą. W końcu barwy zaczęły się mienić nieznacznie, przechodząc w kolor blado-różowy, pomarańczowy i fioletowy, łącząc oba słupy światła. Białawe światło chwilami wzmacniało się i nareszcie jeden słup przybrał na zewnątrz blado fioletową barwę.

Przywołałem jednego z moich towarzyszy podróżny i obaj razem podziwialiśmy to szczególne zjawisko. Cienie naszych postaci, zbliżając się do siebie, ukazały się w tej samej, wspólnej aureoli, a od tych cieniów wznosiły się ciemniejsze promienie, przecinające całą tęczę, tak, że gdy zaczęliśmy machać rękami, cień wyglądał, jak wiatrak w ruchu. W czasie zachodu słońca i dnia następnego o wschodzie, zachwycaliśmy się cudownym widokiem odbicia cieniu samego cyplu w obłokach; cień ten otoczony był mieniącém się światłem najpyszniejszych odcieni.”

Czytelnicy nasi wiedzą zapewne, że wszystkie podobne zjawiska, począwszy od zwyczajnej tęczy, powstają na skutek łamania i odbijania promieni światła w kropelkach pary wodnej rozproszonej w powietrzu.

Bławatek.

Słońce ukrywa szara chmur zasłona,
Spokój i senność owładły wszechświatem,
W nizkiej chatynce biedne dziecię kona,
Więdnie już pączek, nim zdołał być kwiatem.

Na nędzném łóżku tuż obok skrzypeczka,
 Obrazik święty od chrzestnej matuli,
 I kwiatków polnych maluchna wiązeczka,
 Którą miłośnie dziecię do ust tuli.

Bo miłszym był mu nawet nad to granie,
 Ten kwiatek polny, tak cudnie niebieski,
 To jego skarby i jego kochanie
 Weselem darzy, ociera z ócz łezki.

„Matulu moja — prosi dziecię ładnie —
 Kiedy Bóg dobry mnie weźmie do siebie,
 Posadź bławatek, a gdy rosa spadnie
 On tak zakwitnie, jak obłok na niebie.

„Wtedy, matulu, ja zapomnę przecie,
 Zem był kaleką, i wszyscy się śmiali,
 Bo tam na niebie Pan Bóg kocha dziecię,
 Co się Go boi, wielbi, czci i chwali.

„Bo tam aniołek bieluchny, skrzydlaty,
 Stojąc przy Boga wszechmocnej prawicy,
 Przyjmie mnie chętnie, choć jestem garbaty,
 I do stóp świętej przywiedzie Dziewicy.

„Gdy ja jój powiem, jakie wielkie troski
 Znosi kaleka, chore, biedne dziecię,
 To ona prośbą przed Majestat Boski
 Umniejszą nędzę, złą dolę na świecie,” —

I promyk wiary zabłysł mu na twarzy,
 I już nie cierpi, uśmiecha się mile
 Porusza usty... z aniołkami gwarzy.
 Przyszła nagroda za cierpienia tyle.

Porosła trawą maluchna mogiła,
 Na niej bławatek spleciony z kąkołem.
 Na świecie jedna dziecina ubyła,
 Nie znając uciech, zwyciężona bólem.

Marya Ciszwicka.

LISTY Z WARSZAWY.

Kazio do Maryni.

Dawno już bardzo, siostrzyczko kochana, nie wspominałem ci o żadnym nowym obrazie, i niemało ich jednak się pojawia na wystawach warszawskich. Trzeba też będzie kiedyś porządnie się przejść po tych wystawach i co najpiękniejsze malowidła opisać; teraz jednak niema na to czasu, boć to najgorętsza pora egzaminów. Pięknie byłoby, niema co mówić, żeby sprawozdawca „Wieczorów Rodzinnych” nie otrzymał promocyi!

Ale mam nadzieję, że tak źle nie będzie, chociaż się oderwę na chwilkę od książek i kajetów, aby napisać kilka słów do ciebie, siostrzyczko. I otóż, jakkolwiek na wystawie żadnej nie byłem, opowiem ci dziś o przesłicznym obrazie, który widziałem w pracowni malarskiej. Obraz ten świe-

żuteńko wykończony, a nawet nie był jeszcze zupełnie wykończony, gdy go przed kilku dniami oglądał.

Cóż ty na to, siostruniu? nawet do prywatnych pracowni umiem się o wstęp wystarać, aby czytelnikom naszego Pisemka ciekawe i zajmujące rzeczy donosić. Spodziewam się, że zechcą tę gorliwość swojego sprawozdawcy ocenić jak należy i że znowu panienki napiszą o mnie coś pochlebnego do naszej redakcyi... Ale nie dawajmy się unosić próżności, spełniajmy obowiązek sumiennie nie myśląc o nagrodzie.

Wracając tedy do obrazu, o którym mam pisać; najpierw zapytasz zapewne, siostrzyczko, jak się nazywa ów malarz uprzejmy, który mi pozwolił zwiedzić swoją pracownię. Dowiedz się więc, że to jest malarka, bardzo utalentowana panna Magdalena Buttowt Andrzejkowiczówna. Nazwisko to nie obce już jest dla ciebie, jeśli pamiętasz wszystko, co w dawniejszych listach pisałem; donosiłem bowiem kiedyś, iż panna Andrzejkowiczówna zakłada w Warszawie szkołę malarską dla kobiet. Szkoła ta już dziś istnieje, mieści się przy ulicy Marszałkowskiej N-r 53, przyjmują tam uczennice stałe i przychodnie. Jedną z tych uczennic, dawna moja znajoma, wprowadziła mię do pracowni naszej malarki, która tak była uprzejma, że mi nowy swój obraz obejrzeć pozwoliła, czém sobie zdobyła, (i pięknym obrazem, i uprzejmością) szczere moje uwielbienie; postanowiłem też uwielbienie to przelać w czytelników naszego Pisemka.

Piękna to rzecz talent, szkoda, że taka rzadka, myślałem sobie nieraz, a kiedyś niedawno wypowiedziałem to zdanie głośno w obecności wujaszka.

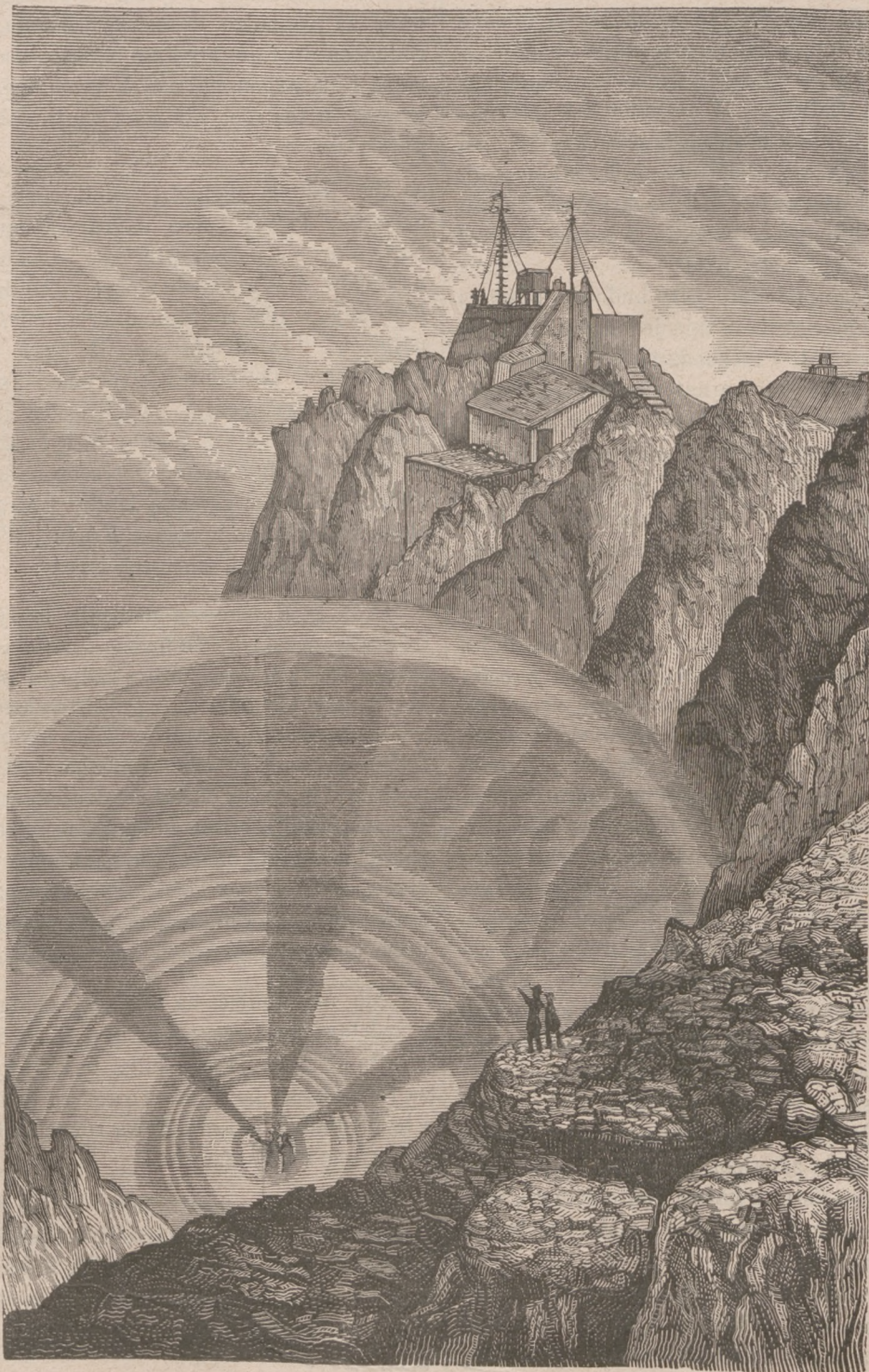
— Otóż ja ci powiem, mój chłopcze — rzekł wujaszek z uśmiechem, że niemniej piękną, a rzadszą podobno jeszcze rzeczą od talentu jest zamiłowanie pracy i wytrwałość. Bez talentu zapewne nie można być znakomitym malarzem, muzykiem, autorem, ale największy talent na nic się nie przyda, jeżeli ten, co go posiada, nie lubi pracować wytrwale. O talentach dowiadujemy się wówczas tylko, gdy zeszyły się szczęśliwie z pracą i wytrwałością, ale o tych, co się zmarnowały, bo posiadacze ich nie chcieli pracować, nic nie wiemy, gdyż talent sam, bez pracy, niczego nie dokona.

Słuchałem ja tych słów wujaszka jedném uchem tylko, jak to zwykle się słucha, gdy starsi prawią morały, a jednak zapamiętałem je cudem jakimś i przysły mi na myśl, gdy mi opowiadano różne szczegóły o panie Andrzejkowiczównie. Ież to ona się napracowała i dziś pracuje, najpierw ucząc się sama, a teraz ucząc drugich, a przytém malując takie piękne obrazy.

A jest tych obrazów już sporo po świecie; wyli-

czę ci tylko te, które na tutejszej wystawie widziałem. Najpierw Kochanowski przy zwłokach Urszulki; był to podobno pierwszy utwór większych

stawiający Tatarów, grających w kości o zdobycz. Widziałem także dawniej na wystawie tutejszej Łokietka w grocie ojcowskiej i kardynała w pur-



Powietrzne zjawisko (str. 391).

rozmiarów naszej malarki; pozyskał ję powszechnie uznanie i był podany w Tygodniku ilustrowanym w drzeworycie, równie jak obraz późniejszy, przed-

purze, wśród pięknego włoskiego krajobrazu. Jest to kardynał Medicis, późniejszy papież Leon X-ty. Teraz opiszę ci obszerniej obraz najnowszy

który oglądałem w pracowni, a który już obecnie musi być na wystawie, gdzie nie długo pozostanie, bo jest nabyty przez kogoś i właściciel go zabierze. Donoszę to dla wiadomości czytelników i czytelniczek naszego Pisemka, zamieszkałych w Warszawie, bo nie wątpię, że przeczytawszy moje sprawozdanie, zechcą ten piękny obraz obaczyć.

Przedstawia on epizod z życia ukochanej naszej królowej Jadwigi. W kościele XX. Karmelitów w Krakowie wmurowany jest kamień, na którym znajduje się odcisnięty ślad, jakby stopy ludzkiej. Lud nazywał to stopką królowej Jadwigi i piękne ztąd wysnuł podanie o znaniej dobroci i miłosierdziu tej świętej pani.

Według tego podania, przy budowie kościoła spadł z wysokiego rusztowania jeden z robotników i ciężko się poranił. Przechodziła tam w tej chwili właśnie królowa i sama natychmiast opatrzyła rany nieszczęśliwego. Na obrazie panny Andrzejkiewiczówny widzimy leżącego na ziemi robotnika, przy nim klęczy cudnie piękna królowa; w całej postaci jej, pochyloną nad nędzarzem, tyle jest wdzięku i prostoty zarazem, że zupełnie odpowiada wyobrażeniu, który każdy wyrobić sobie musiał o niej.

Królową otacza z jednej strony grupa ludu, z drugiej orszak wspaniały; najbliższej stoi pan jakiś w bogatym stroju z ciemno-karmazynowego aksamitu, tak bowiem rycerze ubierali się w owych czasach na dworze królewskim, gdy nie potrzebowali przywdziawać wojennego rynsztunku. Ciekawy byłem niezmiernie, kto to ten rycerz taki okazały, zapytałem nawet o to, ale panna Andrzejkiewiczówna uśmiechnęła się tylko i kazała mi zgadywać. Więc powiedziałem, że to musi być wspaniały i butny pan na Melsztynie, który jako doradca i najgorliwszy stronnik Jagiełły, musiał często na dworze przebywać i mógł się znajdować w orszaku królowej. Nic mi na to malarka nie odpowiedziała, nie wiem też czy odgadłem.

Pewny jestem, że wszystkie czytelniczki naszego Pisemka, które mają talent do rysunku, zaczną rysować z wielkim zapałem i gorliwością po przeczytaniu mojego listu, a każda powie sobie: „Skoro kobieta może być niepospolitą malarką, to i ja poprobuję, kto wie?..”

Muszę ci także wspomnieć, siostrzyczko, o innej artystce polskiej, o której w tej chwili mówi całe miasto a ja przecież przyrzekłem donosić ci każdą zajmującą wiadomość z Warszawy. Już od lat kilku dochodziły tu wieści, że Warszawianka, panna Józefina Reszkówna, pozyskała wielką sławę w Paryżu i innych stolicach europejskich, jako znakomita śpiewaczka. Dotąd jednak nie dawała się słyszeć w swoim rodzinnym mieście.

Aż na raz tej wiosny gruchnęła wieść, że panna Reszkówna przyjeżdża do Warszawy i kilkanaście razy śpiewać będzie w tutejszym teatrze. Nic by w tym jeszcze nie było nadzwyczajnego, nieraz przecież znakomite artystki cudzoziemki przybývają za pieniądze do naszego miasta, czemużby rodaczka uczynić tego nie miała? Jabym ci też może i nie wspomniał o tych występach, bo rzadko bywam w teatrze, nie mam na to ani czasu, ani pieniędzy.

Tu jednak zachodzi okoliczność niezwykła; artystka, której śpiew zagranicą opłacany jest bardzo drogo, postanowiła cały dochód ze swoich występów w Warszawie złożyć, jako dar wspaniały i myślny w tym rodzinnym swym mieście. Więc najpierw, dowiedziała się, iż teatr warszawski z rozmaitych powodów wielkie poniósł straty, a dochody nie wystarczają na opędzenie licznych wydatków. Pojmujesz, jakaby to była szkoda, gdyby dla braku funduszków, potrzeba było wyrzec się teatru, w którym grywają Halkę i Straszny Dwór Moniuszki, piękne komedye Fredry, Wesele w Ojcowie i tyle innych ślicznych rzeczy.

Otóż p. Reszkówna napisała do dyrekcyi teatrów warszawskich, że będzie śpiewała dwanaście razy w różnych operach bez żadnego wynagrodzenia, a cały dochód z tych przedstawień ofiaruje na rzecz kasy teatru. Możesz sobie wyobrazić, że na tych wszystkich przedstawieniach teatr był zupełniony, bo każdy chciał usłyszeć sławną artystkę, znaczną więc zebrano sumę. Nie tylko więc należną sobie zapłatą ofiarowała znakomita śpiewaczka tym sposobem, lecz powiększyła ogromnie dochód teatru swoim wystąpieniem, gdyż zwykle wśród letnich upałów mało kto do teatru uczęszcza.

Ale nie koniec na tym: po ukończeniu tych przedstawień na rzecz teatru, p. Reszkówna postanowiła śpiewać jeszcze kilka razy i kazała sobie za to zapłacić po kilkaset rubli za każdy wieczór i te pieniądze ofiarowała na różne instytucje dobroczynne w Warszawie.

Nieprawdaż, siostrzyczko, że to czyn piękny i szlachetny o którym warto było opowiedzieć czytelnikom naszego Pisemka? A teraz bywaj mi zdrowa, drugi raz pisać będę już w czasie wakacyj; obyż już tej miłej pory doczekać jaknajprędzej.

Twój przywiązany brat

Kazio.

POLOWANIE NA GIRAFY.

PRZYGODY MŁODYCH PODRÓŻNIKÓW W AFRYCE.

(Dalszy ciąg).

XVII.

Wyjazd do krainy giraf.

Po czterech czy pięciu tygodniach takiego polowania na hipopotamy, William osądził, że czas jest zająć się głównym celem wyprawy. Młodzi myśliwi zdobyli przeszło siedmset funtów najpyszniejszej w świecie kości słoniowej, ale pomimo powodzenia, polowanie to prowadzone już nie dla przyjemności, ale jedynie w celach zysku i handlu, wkrótce im się uprzykrzyło.

Wypytawszy Makorę, dowiedzieli się, że dostać żywcem młodych giraf było rzeczą bardzo trudną, niebezpieczną i wymagającą wielkiej zręczności. Łatwo jest zabić girafę, napotkawszy ją, ale zabrać młode, nie zraniwszy ich, to wcale inna sprawa.

William zapragnął jednak koniecznie sławy i nagrody za dostawienie giraf konsulowi holenderskiemu. Henryk i Arend tęsknili tymczasem do swych narzeczonych, a Hans do swojej podróży do Europy. To też gdy William zapowiedział, że wartoby już wyruszyć i zwinąć obóz, wszyscy na to przystali z ochotą.

Makora jeden zakłopotał się tą wiadomością.

— Nie mogę tak się z wami rozstać — rzekł — niezliczone niebezpieczeństwa, śmierć może czeka was w moim kraju rodzinnym. Zamiast pochwycić żywe girafy, możecie tam zostawić wasze kości, aby białały na równinach. Nie puszczę was samych. Bardzo być może, że chybiecie celu waszej podróży, ale w każdym razie pojedę z wami, a najdzielniejsi moi wojownicy będą stanowić straż waszą. Może być także, że okrutny król Zulusów nas wszystkich wymorduje, ale to mię nie powstrzyma od towarzyszenia wam wszędzie. Nie będzie powiedziano, że Makora pozwolił swym przyjacielom narażać się na niebezpieczeństwo bez siebie. Jutro będę gotów do drogi wraz z moimi wojownikami.

Nie potrzebujemy dodawać, że myśliwi chętnie przyjęli ofiarę Makory, i natychmiast zajęli się przygotowaniem do odjazdu. Umieszczono kość słoniową w miejscu bezpiecznym, aby ją zabrać za powrotem. A to właśnie było głównym przygotowaniem do podróży. Wojownicy zaś Makory musieli na nowo zatruć strzały, opatrzyć puklerze i łuki, wyostrzyć toporki.

Następnego ranka zacyjny Makora gotów był do drogi wraz z pięćdziesięciu trzema ludźmi dzielnej postawy wojowniczej i wyruszone w stronę północy. Prowadzono ze sobą woły obładowane suszonym mięsiwem hipopotamów, kukurydzą i inną żywnością, a także kilka krów dojnych. Jednego jucznego konia oddano do użytku wodza, który dosiadłszy tego wierzchowca, trzymał się stale boku Williama.

Z przyczyny trudnej do przebycia drogi, a także i ociężałości wołów, podróż odbywała się powoli. Okolica obfitowała w zwierzyinę, ale nasi myśliwi, nie mając czasu na rozrywkę, polowali jedynie z konieczności, dla zaopatrzenia karawany w świeże mięso. Jeden tylko wypadek ważniejszy wydarzył się w drodze. Szóstej nocy podróży któryś z ludzi Makory wstał, aby poprawić ogień. Załedwie się schylił i wyciągnął rękę po gałęzie przygotowane z wieczora, gdy z krzykiem przerażenia od nich odskoczył. Jego towarzysze, skoczywszy na równe nogi, pobiegli ku niemu. Powstał taki zamęt, że młodzi nasi strzelcy nie mogli się nic pewnego o jego przyczynie dowiedzieć. Nakoniec rzecz się wyjaśniła; był to wąż! Długi na ośm stóp przeszło, z łbem roztrzaskanym, leżał on przywleczony do ognia, wijąc się w drganiach śmiertelnych. Po jego barwie prawie czarnej, krajanicy, którzy go zabili, poznali go natychmiast:

— Pika-hola! Pika-hola! — wołali, tłocząc się około ukąszonego człowieka. Miał on na wierzchu ręki dwa głębokie zadraśnięcia. Po obejrzeniu tej ręki, jego towarzysze wydali jakiś smutny szept pełen współczucia i wszystkie oczy zwróciły się na ukąszonego z wyrazem, który jasno zdawał się mówić:

— Jesteś zgubiony!

Skóra tego człowieka przybrała wkrótce odcień ciemniejszy, palce i usta mu drżały, oczy osłupiały, jakby szklane. W dziesięć minut po ukąszeniu był zupełnie bezwładny i byłby padł w ogień gdyby go nie trzymano. W niespełna pół godziny był już martwy, gdy wąż mimo zgniecionej głowy tarzał się jeszcze po trawie. Nieszczęśliwy został pogrzebany w trzy godziny po śmierci, o wschodzie słońca. Jąd węża Pika-hola jest tak straszny, że już przed pochowaniem ciało ukąszonego było całe zgangrenowane.

XVIII.

Polowanie na girafy.

Jedenastego wieczora podróży przybyli nasi wędrowcy na brzegi małej rzeki, którą Makora nazwał Lużą. Zawiadomił przytém młodych swych przyjaciół, że za dwadzieścia cztery godziny przy-

będą do wioski jego rodzinnej, w której przebył życie całe, z wyjątkiem trzech lat ostatnich.

Makora przedstawił plan działania, polegający na tём, żeby zbudować pewien rodzaj zagrody, w którą by można napędzić stado giraf, a potem zabić stare, a młode wziąć żywcem. Oczywiście wszyscy na to przystali, gdyż to był najlepszy sposób. Kierunek całego przedsięwzięcia powierzony został Makorze, który znał się na tём dobrze. Przypomniał on sobie, że o kilka mil dalej znajduje się miejsce odpowiednie do jego zamiarów, i tam całą gromadkę poprowadził.

Po drodze spotkano szczątki opuszczonej wioski i krajowcy, powracający w te miejsca, rozpoznali resztki chat niegdyś własnych. O pięć mil dalej była owa miejscowość, na której Makora miał urządzić zasadzkę, zwaną *hopo*. Była to wązka kotlinka, wiodąca z dużego lasu ku rzece. Liczne i przeróżne ślady dowodziły, że mnóstwo zwierząt przechodziło tędy co dnia. Las składał się głównie z czułków (mimosa) których liście są ulubionym pożywieniem giraf, ale nie brakło w nim także materiału do zamierzonej budowy. Makora zamierzał dnia następnego zabrać się do roboty, miał najpierw kopać rowy i ścinać drzewa.

William zapytał, czy nie należałoby wprzód przekonać się o obecności giraf w tój okolicy? Makora zapewnił, że niema potrzeby i że girafy znajdują się z pewnością, gdy pułapka będzie gotową. Radził tylko, aby ich nie płoszyć, gdyby się z nimi spotkano, dopóki zagroda nie będzie gotową na co potrzeba było wedle jego obrachunku najmniej ze dwa tygodnie.

Myśliwi zaczęli wtedy dopiero rozumieć trudności przedsięwzięcia i błogosławić przypadek, któremu winni byli pomoc wodza Makalolosów. Teraz widocznym było, że bez tój pomocy jego i jego ludu nie można było ani myśleć o ujęciu żywych giraf. Na dobrych wierzchowcach mogliby ich byli nabić do woli, ale nudne to polowanie nie nęciło ich. Nie taki był cel ich zabiegów.

Nazajutrz od rana rozpoczęto budowanie „hopo”. Żeby zaś uspokoić myśliwców, Makora pokazał im świeże ślady kopyt całego stada giraf, dowodzące, że teje samej nocy przechodziły tędy do wody. Ponieważ Makora nie chciał, aby jego przyjaciele pracowali nad budową ogrodzenia, przeto dla przepędzenia czasu, William Henryk i Arend postanowili zrobić wycieczkę wzdłuż wybrzeży rzeki w okolicy. Hans, zajęty swoją botaniką, pozostał w obozie, ale wziął na siebie obowiązek dostarczania zwierzyny dla pracujących. Facetan pozostał z Hansem.

Nie chcąc obciążać się niczём, aby uniknąć wszelkich kłopotów przez czas dwóch dni, jakie

miała trwać wycieczka, myśliwi nie zabrali z sobą nic, prócz jednego konia jucznego, którego powierzyli Kongowi, bo Kongo naturalnie towarzyszył swemu panu, Williamowi.

Cudnie piękny krajobraz roztoczył się przed myśliwcami pierwszego dnia wycieczki. Gromadki czułków stroiły tu i owdzie łąki, pokryte pysznymi kwiatami, wśród których igrały rozkosznie zgrabne antylopy. Ptactwo o świetnych piórach odpoczywało na gałęziach drzew i fruwało w powietrzu. Był to raj, o jakim nie śniła najbujniejsza wyobraźnia myśliwska. Tegoż dnia wędrowcy spotkali po raz pierwszy wspaniałe girafy. Siedm sztuk tych zwierząt zstępowało poważnie ze szczytu pagórków na krańcu łąk.

— Nie ruszajcie się z miejsca, może się zbliżą, tak, że będzie można strzelać, nim nas zwietrzą. Ogromne zwierzęta zbliżały się szeroką łąką, jakby żywe, ruchome wieżycy. Długie cienie słały się przed nimi. Zdaleka głowy ich zdawały się przewyższać najwynioślejsze drzewa. Zbliżywszy się na jakie dwieście metrów, spostrzegli myśliwych i natychmiast, zawracając w miejscu, uciekły szybko.

— Mamy konie wypoczęte — krzyknął William — niech co chce mówi Makora, ja muszę upolować girafę! dogonimy je!

Wszyscy trzej puścili się w pogoń, zostawiając Konga z jucznym koniem. Nie zdawało się jednak, aby przestrzeń, dzielącą ich od zbiegów, zmniejszała się ale widocznie odległość nie zwiększała się także, i to dodawało im sił i ochoty do zdwojenia wysień. Tak pędzili około czterech mil. Konie zaczynały ustawać, gdy myśliwi spostrzegli że i girafy zwalniały biegu.

— Mam już jedną! — wykrzyknął William zgnajając wierzchowca do pośpiechu. Duży samiec pozostawał w tyle poza resztą gromadki. Myśliwi dopędzili go i wypalili doń jednocześnie. Ale kule, które go miały powalić o ziemię, zdawały się dodawać mu tylko sił nowych, uciekał chytżej, niż wprzód. Myśliwi zatrzymali się po to tylko, aby nabić broń i popędzili znowu, dopadli jeszcze raz zmęczonej girafy i strzelili znowu. William mierzył między łopatki, inni w głowę. Girafa stanęła, pochylając się na wszystkie strony, jak pień drzewa, gdy ma runąć na ziemię. Głowa jój gwałtownie się chwiała to w prawo to w lewo, poprobowała raz jeszcze utrzymać się na nogach i nagle osunęła się ociężale.

Dumni zwycięstwem, młodzi myśliwi zeskokczyli z koni, otaczając piękne stworzenie, tę ruchomą wieżę przed chwilą, teraz dogorywającą, rozciągniętą na zielonej łące.

XIX.

Girafa.

Niema podobno na świecie zwierzęcia piękniejszego i wspanialszej postaci, jak girafa *Cameleopardus*. Sierć prześliczna, kształty nadzwyczaj zgrabne, wszystko przyczynia się do jęj piękności. Stworzenie to, mające około, ośmnastu stóp wysokości od kopyta przedniego do wierzchu czaszki, jest najwyższém między czworonożnymi zwierzętami.

Jeden jest tylko gatunek giraf. Ukazanie się ich w Europie, niezmiernie wywołało wrażenie. Bo i one były tu nowością w czasach nowożytnych, chociaż przed wiekami u Rzymian nią nie były. W końcu piętnastego wieku dopięro na nowo zapoznano się z niemi. Wawrzyniec Medyceusz sprowadził jedną girafę do Florencyi.

Do Angli najpierwszą girafę przysłał pasza Egiptu w darze Jerzemu IV r. 1828, ale ta w następnym roku żyć przestała. R. 1836 cztery girafy sprowadzono do ogrodu zoologicznego w Regents parku.

Na pierwszy rzut oka przednie nogi girafy zdają się prawie dwa razy dłuższe od tylnych. Ale jest to tylko złudzenie, spowodowane wysokością ramion, przewyższającą ogromnie wysokość bioder. Głowa jest malenka w porównaniu do reszty ciała. Szyja wdzięcznie wygięta, ma sześć stóp długości. Od szczytu bioder do dolnych stóp zwierzę ma zaledwo sześć do siedmiu stóp wysokości. Głowa jest uzbrojona dwoma małemi naroślami, które niewłaściwie uchodzą za rogi, gdyż znacznie się różnią od rogów zwyczajnych. Twarde są, w prawdzie, lecz dziurkowate i całe obrośnięte krótkimi włoskami. Trudno jest opisać piękność oka girafy. Oko to ma spojrzenie jeszcze tkliwsze i wyrazistsze od słynnego z piękności oka gazelli, jest tak osadzone, że zwierzę może niém widzieć we wszystkich kierunkach, bez obracania głowy. Girafa obdarzona niezmiernie delikatnemi zmysłami jest przytém tak płochliwa i bojaźliwa, że tylko na bardzo chyżym wierzchowcu można się do nięj zbliżyć. Język długi i giętki służy jęj prawie tak, jak trąba słonia, do wrywania i ujmowania gałęzi których wargami dostać nie może. Skóra girafy bywa gruba na półtora cala. Do trzydziestu kul potrzeba nieraz na uбиcie tego pięknego stworzenia, musi też pod temi kulami konać bez skargi, gdyż jest nieme. Sierć girafy ciemnieje z wiekiem, gdy u innych zwierząt zwykle coraz jaśniejsza się staje. Samica ma jaśniejszą, i jest mniejsza od samca.

Głównym środkiem obrony u girafy są tylne

nogi, któremi się posługuje ze zręcznością, jakiej nawet koń nie posiada. Ponieważ wypukłe jęj oczy mogą widzieć na wszystkie strony, przeto uderzając tylnemi nogami, nie chybia nigdy. Te jęj uderzenia mogą z łatwością roztrzaskać czaszkę lub połamać żebra. Stworzenie tak dziwnie zbudowane, tak chyże i silne, musi być stworzone w jakimś szczególniejszym celu, którego człowiek dotąd nie odgadł. Zwierzę to najspokojniejsze w świecie, póki nie jest napastowane.

XX.

Wyścigi.

Z wielkim żalem Williama, trzeba było pozostawić na miejscu ubitą girafę i obejrzeć się za rzeką, którą w gonitwie stracono z oczu. Szczęściem, czy to Yuza czy inna jakaś podobnej szerokości rzeka, ukazała się wkrótce i myśliwcy poczęli jechać jęj wybrzeżem, szukając miejsca odpowiedniego do napojenia zmęczonych wierzchowców. Z pół mili szukali go napróżno, ale natomiast spostrzegli w pobliżu małe jezioro, przy którym się zatrzymali. Konie były spragnione i głodne, puszczono je więc na paszę bujnie rosnącą dokoła jeziora.

— Zapewne Kongo będzie miał tyle rozumu, że nas dogoni — rzekł Henryk.

— Powinienby tu być za parę godzin — powiedział William.

— Tak, ale czyś pewny, że nas odszuka?

— Powinienby przynajmniej nas odszukać. Mielśmy jechać wzdłuż wybrzeży, więc rzeka będzie go wiodła, Prztém ma przy sobie Szukajna. Gdybyśmy się puścili teraz w górę rzeki, spotkalibyśmy go niewątpliwie.

— Ale po cóż mamy z drogi zawracać? — zauważył Henryk.

— Więc zostanmy tu i czekajmy.

W czasie tęj rozmowy, dały się słyszeć odgłosy, jakby gromów oddalonych, zdało się nawet podróźnikom naszym, że ziemia zadrżała. Drzewa poblizkiego gaju zachwiały się, niektóre padły, jakby nagle podcięte. Wszystko zdawało się zapowiadać huragan zwrotnikowy. Konie wylękle poczęły rzeć, strzydz uszami i biegać na wszystkie strony, jakby nie wiedząc gdzie uciekać. A w tэм z głębi lasu z chrzęstem i łomotem wypadło ogromne stado słoni, z krzykiem, do złudzenia podobnym do odgłosu potężnej trąby. Konie pierzchnęły, a myśliwi pogonili za niemi wiedząc, że od wierzchowców ich życie teraz zależy. Lecz na nic się to nie przydało, nie mogli dopędzić koni.

Słoń idący na czele, biegł prosto na nich, trzeba więc było myśleć o obronie. Inne słonie pogo-

niły za końmi tak gwałtownie, jakby je szal ogar-
nęła, trzy czy cztery tylko pozostało przy jeziorze.

Myśliwi byli w strasznym niebezpieczeństwie. Strzały dobrze wymierzone zdołałyby powstrzy-
mać w zapędzie rozjuszone zwierzęta i zmusić je
do ucieczki. Ta myśl przyszła wszystkim trzem
do głowy w tej samej chwili, więc razem wymie-
rzyli i dali ognia w tymże samym kierunku. Ale
ten środek doprowadził tylko szal słońa do osta-
teczności. Nie było co myśleć o nabijaniu broni.
Wszyscy trzej puścili się ze wszystkich sił ku rze-
cze, bo kierować się w innym kierunku znaczyło
to biedz prosto na kły innych słońi, zbiegających
się na okrzyki zranionego towarzysza. Drżąc
z przerażenia dopadli rzeki i już mieli do niej sko-
czyć gdy Arend zawołał :

— Za mną! — i w tejże chwili skoczył na pień
drzewa obalony który padł w poprzek strumienia.
Wierzchołek drzewa zanurzył się w wodzie, ale
korzenie jeszcze trzymały się gruntu, a gałęzie
zatrzymały się na skałach sterczących z dna rzeki,
i tym sposobem oparły się prądowi wody, który
w tym miejscu był bardzo silny i szybki. Młod-
zieńcy wsunęli się pomiędzy te gałęzie i odetchnę-
li, bo sądzili, że są już uratowani. William czuł
jeszcze dotknięcie trąby rozwścieczonego słońa,
który o mało nie pochwycił go za nogi w chwili
gdy ostatni wbiegał na pień drzewa.

Jakkolwiek położenie obecne nie było wcale
rozkoszne, przecież młodzieńcy doznawali chwilo-
wo tego błogiego uczucia, które zwykle następuje
po przebyciu większego niebezpieczeństwa. Słońie
spędzały tymczasem złość swoją na korzeniach
owego drzewa, usiłując na próżno osiągnąć zbie-
gów. Myśliwi byli obleżeni, ale tymczasowo bez-
pieczni. Oglądając swoje schronienie, spostrzegli,
że wierzchołek drzewa opierał się także na skale
podwodnej mającej około dziesięciu stóp obwodu
u góry. Nieprzyjaciel doskonale zrozumieć musiał
ich położenie. Zdawał się naradzać i namyślać,
czy dać za wygraną czy też dalej trzymać w oble-
żeniu. A gdy oni odetchnawszy nabili broń i go-
towi byli do działania, słoń oddalił się spokojnie.

— Odszedł przecież! — zawołał William —
ale nie opuszamy jeszcze naszego schronienia;
radbym jeszcze trochę odpocząć.

— Spodziewam się że nie będziemy tu dłużej
siedzieli nad konieczną potrzebą, to jest dopóki
wszystkie słońie się nie oddalą — rzecze Henryk —
one jednak nie zdają się nas obawiać, i nie myślą
się ztąd wynosić.

Myśliwi znajdowali się teraz na owiej małej
skale, na której wspierał się wierzchołek drzewa,
a ponieważ wybrzeże było dość wysokie, przeto
nie mogli dobrze widzieć, co się działo na równi-

nie. Arend miał wielką ochotę podsunąć się bli-
żej i posłać nieprzyjaciółom kulkę na pożegnanie,
jeżeliby byli jeszcze w odległości strzału.

William i Henryk sprzeciwili się temu stano-
wco nie chcieli już więcej zaczepiać słońi.

W kilka minut potem Arend znowu zaczął się
niecierpliwie i wyrwać na brzeg, aby zbadać po-
zycyą nieprzyjaciela.

— Nie, — rzecze William — nie pokazujemy
się jeszcze pod żadnym pozorem. Słoń może nas
wypatruje, a ujrawszy ciebie pomyśli, że nam
ztań pilno wyjść, i uprze się, aby nas pilnować.
Trzeba działać tak roztropnie, jakbyśmy mieli do
czynienia z człowiekiem.

Po półgodzinnym wyczekiwaniu dopiero Wil-
liam sam wysunął się ostrożnie z gałęzi, i zbliżył
do brzegu o tyle tylko aby spojrzeć mógł, co się
tam dzieje. Jeden rzut oka był dostatecznym.
William zwrócił się do swych towarzyszy mówiąc:

— Tak jest, jak myślałem: zwierzę nas pilnu-
je. Chce się zemścić, i zaczynam się obawiać aby
nie postawiło na swoim; możemy zginąć tu z głó-
du, zanim słoń się oddali.

— Gdzież on jest? — zapytał Henryk.

— Na samym brzegu, nabiera wody trąbą
i oblewa swoje rany, a oczy ma ciągle w tę stronę
zwrócone.

— Czy jest sam jeden? — zapytał Arend.

— Tak, nie widać ich więcej. Sam jeden stoi
nad jeziorem. Zraniliśmy go, ale nie stracił wca-
le sił i gotów jest do walki. Trzeba go zabić chy-
ba jeżeli chcemy odzyskać swobodę. W milczeniu
William powrócił do swojej kryjówki i trzej przy-
jaciele opatrzyli broń, gotując się do walki zacep-
nięj.

XXI.

Nieprzyjaciel trudny do zwalczania.

William wyszedł śmiało na spotkanie nieprzy-
jaciela uzbrojony już teraz, a za nim szli jego to-
warzysze. Słoń znajdował się jeszcze przy jezio-
rze. Aby go zwabić na strzał, William ukazał mu
się na wybrzeżu. Zwierzę go spostrzegło ale nie
poruszyło się, czekając zapewne, ażeby postąpił
dalej i nie mógł się ukryć znowu w razie napaści.

— Na nic się nie zdało strzelać z tak daleka
— rzekł William — muszę się do niego zbliżyć.
Uważajcie, abym z powrotem miał drogę wolną,
bo wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będzie
za mną znowu gonił.

Jeziorko było na trzysta metrów najmniej od-
dalone od rzeki; William przeszedł trzecią część
tęj przestrzeni i stanął. Słoń patrzył na niego
zupełnie obojętnie na pozór. William nie tracąc

czasu, wymierzył prosto w głowę zwierzęcia i strzelił. Z właściwym sobie okrzykiem słoń rzucił się ku niemu gwałtownie. Młodzieniec przygotowany na to, natychmiast zaczął uciekać ku drzewu, gdy wskoczył na nie słoń był już na parę kroków odległości.

W tejże chwili Arend i Henryk wypalili. Olbrzymi zwierz zaledwo raczył na to uszami wstrząsnąć i odwróciwszy się, gdy oni nabijali broń, szedł ku jezioru, i znowu siedm kul nań padło jedna po drugiej, ale on nie zwrócił wcale na to uwagi.

Dwie godziny pozostawało już tylko do wieczora; Czarne chmury ukazywały się na południu i zachodzie. Trzynaście strzałów dosięgło słońca, a nie znać było po nim, aby go który zranił. Strzelcy byli zawsze obłączeni. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, mieli przepędzić noc na obalonym drzewie i mogli być narażeni na burzę zwrotnikową. Każdy z nich raz jeszcze dał ognia do słońca, bez żadnego skutku, jak się zdawało. Wkrótce deszcz lunął, nie kroplami lecz potokiem, albo raczej jakby rozwarły się chmury i wszystkie niebieskie upusty. Nigdy jeszcze w życiu pełnym przygód młodzi myśliwi nie byli wystawieni na taki potop. Zajęci jedynie chronieniem od zamknięcia broni i amunicji, nie mieli czasu ani pomysłu o sobie.

Przy ostatnich promykach dziennego światła, William jeszcze raz wyrzwał przecież z kryjóWKi; zwierz stał nieruchomy na stanowisku, czuwał ciągle i czatował.

Noc ciemna rozpostarła się ponad rzeką, myśliwi nie mogli dojrzeć jeden drugiego. Deszcz lał nieustannie. Może wówczas mogliby byli wyjść nie widziani, ale już nie mieli ochoty do tego. Pewni, że zwierzę nie dożyje do jutra z powodu licznych ran, postanowili czekać, aby przynajmniej zabrać jego kły przepyszne. Tak minęło koło trzech godzin. Deszcz lał ciągle, zmniejszą już wszakże gwałtownością.

— Ej, przyznam się, że mi tu nie wygodnie — rzekł Henryk — Facetanowi i Kongowi nie mogło już być chyba gorzej w owych jamach. Nieprzyjaciel może już nie pilnuje; gdybyśmy też zmienili to rozkoszne miejsce pobytu na inne?

— Trzeba nad tém dobrze pomyśleć — odpowie William. Choćby nawet słoń odszedł, jeszcze i tak nie znaleźlibyśmy koni naszych wśród tak ciemnej nocy. Jeżeli zaś zwierz jeszcze nas pilnuje, to nie moglibyśmy go dostrzedz o pięć kroków. Lepiej już uczynimy, przepędzając noc tutaj.

— Masz słusność — powiedział Arend — nie wiem, czy nasze strzelby mogą nam być użyteczne, napastowani nie moglibyśmy się bronić teraz.

Stanęło więc na tém, żeby noc całą przetrwać w tém niewygodnym lecz bezpiecznym schronieniu.

Deszcz nie ustawał, a noc wydawała się tak długa, że młodzi myśliwi poczęli wątpić, czyli ujrzą kiedy światło dzienne. Ukazało się przecież. W chwili, gdy pierwsze promienie słoneczne zaślęły, nagły trzask gałęzi przestraszył strzelców. Most z obalonego drzewa po którym spuszczał się na skałę odrywał się od korzenia i zapadał całkowicie w rzekę.

— Baczość! strzeżmy się gałęzi! — krzyknął Arend. Wszyscy skoczyli na wierzchołek skały, w sam czas, aby wraz z drzewem nie spaść w rzekę. Teraz byli całkowicie oddzieleni od ładu.

Dzień zastał ich na skałe tak maleńkiej, że zaledwo utrzymać się na niej mogli. Rzeka wezbrana po deszczu podnosiła się. Mogli przewidywać, że uniesie ich niezadługo, zmiotłszy ze skały tak, jak dotychczasowy ich most zniosła. O słońcu już ani pomyśleli. Nie mogli nawet występować z nim teraz do walki, choćby chcieli; jak Prometeusz, przykuci byli do skały.

Choćby się rzucili w pław, choćby przewyciężyli siłę prądu, i oparli mu się, to jeszcze wybrzeże po obu stronach było tak wysokie i niedostępne, że wdrzeć się na nie nie mogli. Dzielni pływacy, mogli oni wprawdzie popłynąć wpław z biegiem rzeki aż do miejsca, gdzieby wdarcie się na brzeg było możliwe; ale różne względy wstrzymywały ich od ratowania się w ten sposób. Najprzód trzeba porzucić broń, co znaczyło, wyrzec się dalszej wyprawy. Prócz tego, prąd był tak silny w tém miejscu, że zachodziła wątpliwość, czy nie pochyci ich z siłą nieprzepartą i nie roztrzaska o skały.

— Ech -- rzecze Henryk — mam ja i trzecią, jeszcze przyczynę do głosowania przeciw podróży wodnej; wczoraj widziałem tu parę ogromnych krokodyli, musi ich być i więcej.

— Jeżeli tak to, nie wchodźmy do wody — powie Arend — krokodyle wiecznie są głodne, a ja nie mam wcale ochoty dostarczać im pożywienia własną moją osobą.

— A ja w żadnym razie nie rozstanę się z bronią — rzekł William. Pozostali więc na skałe, ale cierpliwość wyczerpywała się, nie wspominając już o innych niedogodnościach ich położenia.

Słońce podnosiło się, a młodzi strzelcy nie przypominali sobie, aby jego promienie były kiedy tak straszliwie palące, jak to uczuwali teraz stojąc na nagięj skałe, ani też nie pamiętali, by im kiedy głód tak okropnie dokuczał, jak w tej chwili. To podwójne uczucie doprowadziło wkrótce Arenda

i Henryka prawie do szaleństwa. William sam jeden zachowywał jeszcze trochę zimnej krwi.

— Radbym wiedzieć, czy słoń jeszcze nas pilnuje — rzekł. — Jeżeli tak, toby zasługiwał prawdziwie na miano starego głupca, którym Facetan wiecznie Konga częstuje. Przykro mi, że nie mogę się z nim zobaczyć i podziękować za to, że czuwał tak troskliwie nad nami.

Tak mówił William, usiłując rozweselić swych towarzyszy, ale nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

(D. n.).

Zagadka. (Różia D.).

Z dwóch spółgłosek codzień wiecie,
Co się dzieje w całym świecie.

Łamigłówka kryształowa.

(Karolka R.).

1. Spółgłoska.
2. Część drzewa.
3.
4. Bywa na rzekach.
5. Samogłoska.

Rzęd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę kraju w Europie. Wyrazy 2 i 4. odczytane być powinny także w poziomym i pionowym kierunku jednakowo.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go.

Szarady:

Wi — ta — li — sa.

Łamigłówki kryształowej:

		T.		
	A	R	A.	
	A	T	E	N
	A	N	A	M
	T	R	E	M
	E	R	Z	E
	M	A	C	K
		O	K	A.
		I.		

Odpowiedzi od Redakcyi.

Władysławowi R. w Troickosawsku pod Kiachtą. Na dowód, że częste liściki nam, ani czytelnikom naszego Pisma uprzykrzyć się nie mogą, przytaczamy tu ustęp z listu jednej z naszych korespondentek, która przyrzeka, że nie przestanie czytać ulubionego Pisma nawet wyszedłszy z dzieciństwa i włożywszy długą sukienkę. „Jak to dobrze, pisze ta panienska, że w Troickosawsku mieszkają chłopczyki, a nie dziewczynki; jest nadzieja, że długa sukienka nie przeskodzi na przeszkodzie czytaniu Wieczorów i nadsyłaniu kiedyniekiedy zajmujących opisów z pogranicza

Chin“. Rozwiązanie zagadki historycznej bardzo dobrze jest napisane, a chociaż nagroda za tę zagadkę już dawno przyznana została komu innemu, zaznaczamy tu z prawdziwą przyjemnością, że i to ze wszech miar na nią zasługiwał.

Maryni P. Już kilka kochanych czytelniczek, po przeczytaniu liściku z Ukrainy, upewniało nas, że nawet i długa sukienka nie skłoni ich do rozstania się z ulubionym Pismem. Cieszy to nas niezmiernie, a podając co tydzień Dodatek dla młodszego działu, możemy w samem Pismie zamieszczać utwory stosowne dla czytelniczek dorastających. Korespondentowi naszemu z Troickosawski donieśliśmy w poprzedniej odpowiedzi, że listy jego są pożądane, a to go zapewne zachęci do przesyłania ich częściej.

Marysi N. w Sędzicach. Z wielką przyjemnością dowiadujemy się, że są i takie czytelniczki naszego Pisma, które niecierpliwie wyglądają „Pogadanki naukowych“ i chętnie je odczytują. Mielibyśmy wielką ochotę wydrukować w Pismku ten liścik, tak ładnie napisany, a tyle zawierający dla nas życliwości, ale nie możemy tego uczynić, bo nie wypada głosić własnych pochwał. Wszystkie te uprzejme i miłe wyrazy zachowamy w pamięci i sercu. Mamy nadzieję, że młodszy braciszek i mali siostrzeńcy na długo jeszcze zachowają nam czytelniczkę, która, jak to łatwo poznać można po piśmie i stylu, wkrótce także zapewne włoży długą sukienkę.

Kazio Mieczysławowi S. w Moskwie. Kazio jest uradowany wiadomością, że koledzy z takim zajęciem listy jego czytają i przyznają mu „roztropność“. Na pytanie, ile ma lat i jak wygląda, odpowiedzieć nie możemy, gdyż nie mamy prawa wydawać tajemnicy redakcyi. Upewniamy tylko, że Kazio jest serdecznym przyjacielem młodzieży wszelkiego wieku, a szczególnie czytelników naszego Pisma. Co do historii polskiej, trzeba by wiedzieć, czy idzie o podległość naukową, czy o książeczkę do czytania. W każdym razie możemy polecić Wieczory pod Lipą Siemieńskiego, cena rs. 1 kop. 50.

Melańci B. w Łychowie. Każda czytelniczka i korespondentka naszego Pisma mile będzie przyjęta w redakcyi. Dziękujemy za liścik, tak ładną kaligrafią pisany, i za obietnicę stałej korespondencyi. Prosimy także o szczegółową wiadomość, które powiastki i opowiadania podobają się więcej od innych. Rozwiązania łamigłówek trafne.

Józiovi K. Łamigłówka jest bardzo dobra i stosowna do Dodatku, to też drukowana jest w dzisiejszym N-rze Pisma.

Natalci O. na Pradze. Zamiłowanie opowiadań historycznych jest bardzo chwalebne. Staramy się jaknajwięcej takich utworów podawać kochanym naszym czytelnikom. Przerwa pomiędzy pierwszą i drugą częścią „Branca tatarskiego“ nie była długa, teraz zaś zajmujące to opowiadanie szybko zmierza do końca. Postaramy się także niezadługo o ładną powieść z angielskiego, gdyż wielu czytelników się o to upomina. Każdy, kto tylko szczerze tego pragnie, potrafi zbierać w życiu wonne gałązki lawendy na wzór Bertusii.

Panu M. Łączyńskiemu w Kamieńcu Podolskim. N-r-a wysłane powtórnie, łamigłówki będą drukowane.

Maryni P. Łamigłówki i zadanie konikowe wydrukujemy, ale troszkę później, bo mamy ogromne zapasy dawniej nadesłanych.

Od Emilci i Maryni Z. Otrzymaliśmy na stragan dla ubogiej wdowy rs. 2. Od H. i Maryli W rs. 1. Od Zosi Cz. rs. 1. Od Ludwisia W. i pani Maryi W. rs. 3. Dalsze składki już niepotrzebne gdyż dzięki dobremu sercu uaszych czytelników i innych, znalazł się już fundusz potrzebny na stragan.

Pani Letycyi Korewicz... N-r. 21 wysłany, *Historja Powstania* wysłana również i zapewne odbierze ją Pani niebawmie.

Ludwisiovi W. Dziękujemy za ofiarę. Cieszymy się, że Braniec i Polowanie na girafy tak zajmują. Pierwszy drukuje się już dalej. Bardzo radi jesteśmy, że Dodatek podoba się Janince. Liścik zrobił nam wielką przyjemność, adres zmienimy zaraz na właściwy.

Pani Maryi W. Najlepszą historją polską dla dzieci w tym wieku są *Wieczory pod Lipą* które polecamy.

WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.

Rozsądek Tosi.



osia, Anielka i Ludka poszły pięknego letniego dnia po południu z boną do Saskiego ogrodu na przechadzkę. Bona trzymała Ludkę za rękę, a Tosia i Anielka szły naprzód trzymając się też za ręce, jak Mama każe.

Ludzi było dużo, jak zawsze latem po południu w ogrodzie. Tosia z Anielką rozmawiały żywo i z zajęciem o tem, co wypadało zrobić Mamie na imieniny. Sprawa była ważna, bo trzeba było wymyśleć coś porządnego, a małym dziewczynkom nie łatwo jeszcze jest zdobyć się na porządną prawdziwie robotkę.

Ojciec wprawdzie chciał dać pieniędzy, a nawet sam gotów był pomagać przy kupnie, ale co kupić takiego, żeby małe dziewczynki mogły z tego zrobić rzecz pożyteczną dla Mamy? tego Ojciec nie mógł wymyśleć, bo się na kobiecych robotach nie znał.

Na nicby się zaś nie zdało kupić co gotowego, bo wtedy byłyby to chyba podarunek od Ojca, skoro za Ojca pieniądze kupiony, a dziewczynki chciały coś koniecznie własnego Mamie ofiarować, a własną robotę tylko mieć mogły.

Ale jaką? Dziewczynki rozmawiały o tem bardzo żywo, aż wpadły na pomysł wcale niezły, a to taki, żeby Ojciec kupił tuzin pięknych chustek webowych do nosa dla

Mamy, młodsza córeczka te chustki starannie poobrąbia, a starsza je pięknie, choć łatwym ściegiem poznać.

Ucieszone takim pomysłem panienki obejrzą się, aby powiedzieć to bonie, a tu bony i Ludki niema, w koło pełno obcych ludzi!

— Ach! zginęliśmy w tłumie! — krzyknęła Anielka i już chciała się rozplakać, gdy Tosia, chociaż także drżąca z przestachu, rzekła:

— Nie płacz siostrzyczko bo płacz nie pomoże. — Przypomnijmy sobie, gdzie bona z nami najczęściej siada, tam pójdźmy i tam na nią czekajmy, to może do nas przyjdzie.

— Mnie się zdaje, że najczęściej koło wodotrysku siadamy! — powiedziała Anielka, przestając płakać — ale gdzie jest wodotrysk?

— Musi być gdzieś niedaleko, bo słychać, że szumi — rzekła uważna Tosia i po chwili patrząc w górę, spostrzegła istotnie i pokazała Anielce strumienie wody wystrzelające wysoko po nad głowami ludzi, niedaleko od dwóch siostrzyczek. Poszły więc obie do wodotrysku, a tam łatwo już znalazły ławkę, na której z boną często siadały.

Ławka była zajęta, Anielka zaczęła znów płakać, bo zabolaty ją nóżki. Pewna była, że bona ich nie znajdzie i ze dwadzieścia razy chciała biedz w głąb ogrodu, bo jój się zdawało, że bonę tam widzi. Trudno wypowiedzieć, co biedna Tosia miała kłopotu, aby ją utrzymać przy owój ławce na otwartym miejscu, gdzie rozsądek wskazywał, że dziewczynki najprędzej spostrzeżone być mogły, jak to Mama nieraz im tłumaczyła.

Nareszcie w dobre półgodziny przybiegła przecież przestraszona bona, z płaczącą za siostrami Ludką. Dowiedziawszy się o kłopotach Tosi, bona podziękowała jój za to, że umiała sobie poradzić rozsądnie, i przez to ochroniła siebie i siostrę, a także i bonę od większych przykrości.

Bona ta kochała bardzo swoje panienki, a rozsądek Tosi tak ją ucieszył, że natychmiast wróciwszy do domu opowiedziała wszystko Mamie, aby Mama także pochwaliła Tosię, chociaż wiedziała to przecież dobrze, bona, że ona sama będzie połajaną za spuszczenie z oka panienek. Mama tak była wszakże zadowolona z rozważnej Tosi, że na jej proźby nie połajała nawet bony, tylko przykazała, aby na drugi raz baczniej pilnowała dziewczynek.

Jedną tylko rzeczy nie dowiedziała się Mama wtedy, a to tego, o czém Tosia z Anielką tak żywo rozmawiały w ogrodzie, że aż nie wiedziały, kiedy się zbłąkały wśród tłumu! Ale Ojcu powiedziały tę tajemniczą rzecz panienki, i Ojciec uznał, że ten pomysł o chustkach dla Mamy był bardzo dobry.

Zaraz nazajutrz kupił też Ojciec prześliczne chustki i odtąd codziennie regularnie chodziły dziewczynki z boną do ogrodu, ale nie nie biegały tam wcale, tylko usiadłszy na ławce pracowały pilnie.

Po całych sześciu tygodniach ciężkiej pracy, Anielka skończyła obrabianie, a Tosia znaczenie chusteczek, a w dniu imienin swoich Mama rozplakała się z radości, otrzymawszy tę pierwszą pracę córeczek w podarunku.

Wtedy też dopiero dowiedziała się Mama, o jakiej to tajemniczej a ważnej rzeczy rozmawiały przed sześciu tygodniami dziewczynki w ogrodzie z takim zajęciem, że aż w tłumie zginęły.

BAJKA.

Kotek miauczy: miau! miau!
 Ja już szarą myszkę mam!
 Piesek szczeka: hau! hau!
 Ja zającą wzięłem sam!
 Krówka ryczy: mu! mu! mu!
 Ja mam mleko, proszę brać!
 Kura gdacze: tu! tu! tu!
 Mam dość ziarenek, dzieciom dać!
 Każdy od samego rana
 Pełni obowiązki swoje,
 Tylko Różia rozespana
 Krzywi się, iż muszek roje
 Nie daję jej dłużej spać.

Na to brzęknie mała muszka,
 Siadłszy Rózi koło uszka:
 — Książka czeka! proszę wstać!

M-a.

STARY I MŁODY.

— Tatku — mówił młody zajączek do starego — wyjdźmy też raz z tego lasu tam w pole, gdzie tu oto niedaleko zieleni się na zagonie taka prześliczna sałatka!

Stary zając skrzywił się trochę, poruszał wąsami i rzecze:

— Moje dziecko, siedź ty w lesie tak, jak twoi ojcowie i praojcowie siedzieli i najlepiej nie patrz nawet w tamtą stronę, gdzie zieleni się ta piękna sałata, bo widzisz, co jest w lesie, to twoje, a co na zagonie, to ludzkie, więc lepiej krzywdy człowiekowi nie robić, bo on tę sałatę własnymi siał rękami.

— A cóż mu tam za krzywda, że zjem dwa listki, gąsiennice więcej zjedzą odburknął młody zajączek, i póty się napierał i prosił, aż staruszek zając pozwolił mu chociaż bardzo niechętnie iść na zagon z sałatą. Skoczył zajączek, ale jeszcze nie zdążył jednego listka zjeść, kiedy wypadł strzał i zabił młodego zajączka. Bo tam za drzewem stał strzelec i czatował właśnie na niedoświadczony zając.

Staruszek zając płakał patrząc na to zdaleka, a inne zające mówiły do swoich dzieci:

— Patrzcie! i pamiętajcie słuchać przestrog starszych, bo oni waszego jedynie pragną dobra.

PRZYGODY KLARUNI

Opowiadanie przez Natalią Dygasińską.

(Dalszy ciąg.)

Okręt, unoszący naszą jaskółkę, trudnił się także nabywaniem pereł, które tak, jak i korale, w głębi morza spoczywają. Są to jednak odmienne twory. Nurkowie, nad brzegami morza mieszkający rybacy, przyuczani do tego, spuszczały się na dno morza, i tam zbierają muszle, mieszczące w sobie mięczaki, zwane: perło-pławy. Potem roz-

kładają je na brzegach morza, by wyginęły i pogniły, z skorup wybierają kosztowne perły. Muszle same dają macicę perłową, przedmiot także bardzo ceniony w zbytkownym handlu. Jaskółeczka z wielkiem zdumieniem przyglądała się tym dziwom, o jakich dawna Klarunia, nie ucząc się i nie czytając, wcale wyobrażenia nie miała. Piękne, ciekawe to były rzeczy, ale ptaszyna zaczynała już uczuwać tęsknotę wielką w tém oddaleniu od stron ukochanych, i znanego świata.

— Smutne życie jaskółki, myślała sobie po raz pierwszy od czasu swojej przemiany — smutno jest pędzić takie tułacze dni...

Okręt przybył do Aleksandryi, miasta bardzo wspaniałego i handlowego, które wśród Deltę Nilowej, w dolnym Egipcie, niedaleko jeziora Mareotys jest położone. Afryka, jak wiadomo wszystkim, to część świata najwięcej na gorąco wystawiona, przecież strona jej północno-wschodnia, którą właśnie przybywała nasza wędrowniczka, posiada klimat znośny i przyjemny.

Wylewy Nilu użyźniają grunta Egiptu, Nubii, Abissynii i sprowadzają błogosławioną urodzajność w tych okolicach. Niedalekie pasma gór Atlasu to jest góry śnieżne, wznoszące się pomiędzy morzem Śródziemnem a wielką pustynią Saharą, żywią obfite stada koni i wielbłądów.

Roślinność wszędzie niezmiernie bujna. Olbrzymie palmy, drzewa daktylowe, chlebowe, drzewka kawowe, bawelniane, tworzą nieprzejrzone lasy. Po brzegach rzek ciemne gęstwiny trzciny, bambusu, pola zaś zasiane ryżem, kukurydzą, rośliną farbiarską zwaną indygowcem, odmienny od niw Europejskich przedstawiają widok.

Jaskółeczka znalazła swoje towarzyski osiedlające się nad brzegami Nilu i połączyła się z nimi. Wkrótce zaczęła robić wycieczki po tych nieznanym, zadziwiających krajach; zwiedzała bogate świetną roślinnością lasy, a mieszkańcy tych lasów najwyższą ciekawość w niej wzbudzali. Ulatywała ponad gałęziami drzew, zaglądając chciwie w ich wnętrza. Ruch tam panował wielki, wśród wyniosłych kokosów, ogromne małpy, jakich nie wyobrażała sobie nawet, przeskakiwały z jednego drzewa na drugie z dziwną zwinnością, powiewając długim, białym włosem, którem są obrośnięte, niby płaszczem.

Były to małpy Gibony. Inne, jeszcze większe, pstro ubarwione, chodziły, po ziemi około drzew i gniewały się sztraszliwie. Te

nazywają się Pawiany. A gniew ich był zwrócony przeciw papugom, których też tu pełno skakało, wydając rozmaite głosy, wybuchy śmiechu, mrużenia, ziewania i t. d. Wiodocześnie przedrzeźniając małpom i sprzeciwiając im się bardzo zabawnie.

Jaskółka nie mogła napatrzeć się tym psotom, jakimi ładne różnokolorowe papugi do wściekłości rozdrażniały pawiany. Nagle wszystko ucichło, a z pomiędzy olbrzymiej trawy i paproci wysunęła się smukła postać płowej, czarno centkowanej pantery, która zwinnymi skokami wdrapała się na drzewo, goniąc małpy i ptaki. Ogólny popłoch nastąpił, zrozumiano, że to już nie igraszki; ale o życie idzie, uciekano więc co żywo. Papugi wydały kilka odmiennych przeraźliwych wrzasków na trwogę, a mała jaskółeczka jakkolwiek zupełnie bezpieczna w powietrzu, jednakże tak była przerażoną chytrym wyrazem tej drapieżnej postaci, że także co prędzej rozwinęła do lotu skrzydełka.

Drugi raz znowu, znalazłszy się w lesie, była świadkiem innej, okropniejszej sceny. Widziała tam śliczną Antylopę, spoczywającą chwilowo pod gęstą palmą, gdy nagle z drzewa rzucił się na nią wąż ogromny, który tam owinięty o pień na zdobycz czatował. To wąż Dusiciel, Boa, oplótł w swe zabójcze splety nieszczęśliwą Antylopę i zadusił ją w tym uścisku; a potem, wypuściwszy na ziemię pożarł spokojnie.

Odtąd Jaskółce odeszła chęć zaglądania w głębie cudnych lasów, kryjących w sobie takie okropności. Nie mogła przecież powstrzymać się w ciekawości poznawania ogromnych, przepysznych ptaków, na bardzo wysokich nogach, które lubo opatrzone pięknymi piórami, jednakże do lotu niezdolne, z rozpostartymi skrzydłami biegają po ziemi, tak szybko, że ich konny jeździec nie dogoni. Są to strusie. Ukazywały się one w licznych stadach nad Nilem, spijając bardzo wiele wody, i łykając z chciwością piasek, krzemki, kawałki żelaza i inne twarde przedmioty, znalezione po drodze. Piękne pióra Strusia czynią go bardzo pożądaną zdobyczą, ale też stado tych ptaków z wielką czujnością pilnuje się przed napaścią i za najmniejszym szmerem uchodzi z miejsca pędem strzały.

Oprócz nich, dawały się widzieć także olbrzymie, ciężkie zwierzęta czworonożne które z głębi stepów czasami pojawiają się przy rzekach. To słonie. Ciało ich

niezgrabne, pokryte skórą prawie nagą szarego koloru, nos, przedłużony w bardzo długą trąbę, służy do oddychania, picia, karmienia się, chwytania różnych przedmiotów, a nawet do obrony. Maleńka jaskółeczka długo nie mogła wyjść z osłupienia, widząc takie olbrzymie okazy świata zwierzęcego.

Na ostatek przecież las zachował jej najkrwawszy i najokrutniejszy obraz, jaki ze wspomnień widzianych dziwów tego świata uniosła.

Niedaleko brzegów Nilu, w ubogiej chatce, mieszkał czarny murzyn z rodziną, na której wyżywienie zarabiał wyplataniem mat i koszyków trzcinowych. Nieraz jaskółka lubiła przyglądać się małej dziatwie, igrającej na gorącym piasku, lub wieszającej się z pieszczotą u szyi zapracowanego ojca. Czarna połyskliwa skóra i kręjące się jak wełna włosy, czyniły te dzieci podobnymi do wyobrażanych sobie niegdyś przez Klarunię dyabełków.

Stary murzyn często przychodził nad sam brzeg rzeki i ścinał w zaroślach nadbrzeżnych trzcinę. Dnia jednego najstarszy synek przybiegł za ojcem i znosząc na wiązki ucięte pręty, swywolił wesoło. Był to dzień skwarny około południa. Ptaszyna nasza, w przewidywaniu burzy, chłodziła skrzydełka, podlatując nad Nilem, przypatrywała się robocie murzyna i zabawom jego syna, gdy w tém zwrócił jej uwagę straszliwy krokodyl. Wysunął on właśnie swe obrzydłe cielsko, poziewał, sapał, a rozdziawiwszy paszczę, wyciągnął się na spoczynek.

Zajęci swą robotą ludzie, nie widzieli go wcale, jaskółka z przerażeniem usiłowała świergocąc i trzepocząc skrzydełkami przestrzędz ich o niebezpiecznym sąsiedzie; lecz niestety nie mogli jej zrozumieć. Chłopczyna, w figlach rzucając kamienie do wody, zbliżył się w stronę krokodyla, szelest zaś ten rozbudził śpiącego; w jednej chwili skoczył gwałtownie, pochwycił dziecko w swą okropną paszczę i sunął nurka do wody, aby je utopić. Biedny ojciec spostrzegłszy nieszczęście, zaczął krzyczeć, narzekać, żałować i zapomniał o własnym ratunku, a tymczasem okrutny potwór po raz drugi wynurzył się z wody i złożywszy na piasku zamordowaną ofiarę, rzucił się następnie na starego murzyna, porwał go także i ukrył tak samo w rzece.

Jaskółka pierwszy raz widziała morder-

stwo dokonane na człowieku i przeraził ją ten widok więcej, niż wszelkie inne. Odtąd z największym upragnieniem wyglądała na dejścia chwili powrotu do swojego kraju.

— Straszno to bardzo — myślała sobie i krwawiło się jej serduszek na obraz nędzy i żalu, w którym pogrążona była reszta rodziny pożartego murzyna.

Nie zajmowały ją już potém widoki licznych karawan z wielbłędami, którei arabscy Beduini ciągnęli w stepy środkowej Afryki. Nie bardzo nawet była zachwyconą ujrzeniem zdumiewających piramid egipskich, w których groby królów od tylu tysięcy lat spoczywają i których ogrom świat cały przepełnia podziwem. Zabłądziwszy w tamte strony, z obojętnością zupełną spoczywała ptaszyna na tych granitowych pomnikach przeszłej wielkości i nie zdolna do rozpamiętywań, tęskniła tylko za swoją rodzinną strzechą.

(D. c. n.)

Zagadka. (Azet.)

Czy to ryba, zwierz, czy ptak,
Co angielski nosi frak,
Po ugotowaniu?
Ale nim mu na to przyjdzie,
Że odzienie zmieni w biędzie,
Zwykle w swém mieszkaniu.
Przy zabawie czy robocie,
Chodzi w czarnym paletocie.

Łamigłówka kryształowa.

(Józi K.)

- 1. Litera.
- 2. Nazwa ptaka!
- 3.
- 4. Zaimek.
- 5. Samogłoska.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę wyspy na morzu Śródziemném.

Rozwiązania do Nr. 23-go.

Zagadki.

M i a s t o J a s t r z ę b.

Łamigłówki w kwadraciku:

R
Ł A K
R A D O M
K O T
M